Wojewódzkiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej
w GDAŃSKU

PROLETARIUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW ŁĄCZCIE SIĘ!

NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron | Warszawa, 19 września 1954 r. | Nr 38 (234) Rok V

WILHELM MACH

List do Radzieckich Przyjaciół

Dzień niedzielny 12. IX. otwiera u nas w Polsce Miesiąc Pogłębienia Przyjaźni z Waszym wielkim Krajem, z Waszym Narodem. Głośniki radia i gazety donoszą nam od paru tygodni o przygotowaniach całego społeczeństwa, po miastach i wsiach, do tegorocznych obchodów. Górnicy śląskich kopalń, robotnicy z Nowej Huty noszącej imię Lenina, włókniarze Łodzi, pracownicy PGR-ów i chłopi - spółdzielcy — tysiące i tysiące ludzi z najrozmaitszych zakładów pracy — powitają Was na progu Miesiąca Przyjaźni wynikami swych zobowiązań. Młodzież szkolna, wkraczająca w nowy rok nauki, święcić będzie swą szczególnie żywą przyjaźń dla Waszej młodzieży wzmożoną pracą samowychowawczą i samokształceniową. 12. IX. na Placu Konstytucji w Warszawie rojno było i gwarno — wokół stoisk Kiermaszu radzieckich książek, wydanych w językach rosyjskim i polskim, tłoczyli się dorośli i młodzi amatorzy radzieckich dzieł naukowych i podręczników rosyjskiej klasyki powieściowej i poetyckiej, żarliwi czytelnicy dawniejszej i nowej literatury. Wielcy pisarze Waszego narodu — Tołstoj i Gorki, Puszkin i Majakowski, Gogol i Czechow, wraz z Szołochowem, Leonowem, Erenburgiem, Simonowem i innymi czołowymi twórcami współczesnymi — to dziś już naprawdę przyjaciele każdego polskiego domu.

Odwiedził mnie niedawno przybyły z Krakowa malarz - rysownik, przynosząc z sobą pokaźną tekę ilustracji do mającego się ukazać tomu wierszy Michałkowa. Sam nie wiem jak i kiedy zeszły się u mnie wszystkie dzieci z sąsiedztwa, domagając się szczegółowych informacji o ulubionym autorze i jego utworach. Żywa dyskusja małych gości, roztrząsających również przy okazji uroki bajek Marszaka, omal że nie zagroziła zdrowiu mojej bibliotecznej szafy. Onegdaj w księgarni w Alejach Jerozolimskich widziałem dwóch uczniów licealnych kupujących komplet dzieł Gorkiego — ostatni, jaki się tam jeszcze uchował — z takim ogniem w oczach, wśród tak rozbrajająco nieopanowanych okrzyków radości, że wszyscy, i ekspedientki, i klienci, musieli się do nich i do siebie wzajem uśmiechnąć. Donoszę Wam, Przyjaciele, o przygotowaniach w skali dużej, krajowej, a także o przysposobieniu do Święta Przyjaźni w skali bardziej niż tamta niepochwytnej, nie ujętej w zapisany program obchodów — o przysposobieniu ludzkich serc. Lecz ta druga skala wydaje mi się bodaj ważniejsza i istotniejsza. Gdy gościłem w Waszym kraju przed dwoma blisko laty, rozmawiałem niejednokrotnie — podobnie jak i inni członkowie polskiej wycieczki — z radzieckimi towarzyszami na temat dobrych i złych przyzwyczajeń we wzajemnej praktyce wymiany doświadczeń, poznawania się, przyjaźni. Zgodziliśmy się wspólnie, że nic tak nie zamąca prawdziwej, rzetelnej istoty związków pomiędzy narodami, jak urzędowa oficjalność, uroczysta pompa, celebrowanie okolicznościowe od daty do daty. Dziś pragnę Was zapewnić, że treść naszej przyjaźni dla Was, zarówno w odczuciu polskiego społeczeństwa, jak i w faktach, wyzbywa się resztek niepożądanej ceremonialności, że z każdym dniem staje się bardziej prawdomówna, szczera, bezpośrednia, dokumentowana spontanicznymi czynami. Konkretnie znaczy to, że świadomość i racje rozumowe z jednej, a sfera uczuć i postanowień z drugiej strony zbliżyły się do siebie, zjednoczyły, tworząc niepodzielne przeżycie. I że to przeżycie jest coraz powszechniejsze, coraz bardziej organiczne i od rocznic niezależne.

W tym roku ze szczególną radością święcić będziemy nasze z Wami braterstwo. Bo obchodzimy równocześnie dziesięciolecie narodzin Polski Ludowej. Szczęśliwy to dla nas jubileusz. Ciesząc się życiem, rozwojem i rozkwitem naszej Ojczyzny, pełni nadziei na przyszłość wciąż piękniejącą i coraz to lepszą, z tym mocniejszym uczuciem miłości, wdzięczności i dumy przeżywamy myśl, że młoda a tak porywająca historia naszej Rzeczypospolitej i historia przyjaźni z Krajem Rad — to sprawa ta sama, to opowieść dla przyszłych pokoleń jednolita i nierozerwalna, to wspólny rzeczy początek, wspólna droga i cel ten sam. W tym roku tak dla nas uroczystym pojmujemy i czcimy tym głębiej ofiarny patos Wielkiej Rewolucji, twórczą siłę myśli Lenina, życiodajny urodzaj Stalinowskich pięciolatek, cenę krwi przelanej przez radzieckiego żołnierza w wojnie o Wasz kraj i o naszą Ojczyznę — wszystko to, z czego wyrasta nasze nowe i wolne, lepsze niż kiedykolwiek dotąd, konkretnie dotykalne, pełne jak owoc życie. W tym roku, kiedy — w ślad za zwycięstwem pokoju w Korei — umilkł wietnamski front, kiedy wszyscy na ziemi ludzie dobrej woli wielkim głosem podjęli antywojenny apel Związku Radzieckiego, kiedy przeciwko podpalaczom i zbrodniarzom opowiedziało się sumienie Francji, kiedy w samych Niemczech, w krajach dalekiej Azji i Ameryki Łacińskiej, w koloniach i dominiach państw kapitalistycznych, wszędzie! — raz po raz podnoszą się protesty wymierzone w terror wodorowych pogróżek — w tym roku i w tym Miesiącu, który obchodzić będziemy, jeszcze dobitniej odczuwamy doniosły, bezcenny wprost udział Waszej pracy, Drodzy Radzieccy Przyjaciele, Waszych starań, Waszych rzeczowych argumentów i dokonań w budowie świata sprawiedliwego i bezpiecznego, któremu odjęte będą trwoga i krzywda, ból niezawiniony i gwałt śmierci.

Tak właśnie pojmujemy treść Miesiąca Przyjaźni, tak ją przeżywamy. Wszystkie konkretne przejawy i manifestacje polsko - radzieckiej solidarności, niezależnie od swego różnorodnego charakteru, mają wspólny i trwały grunt. Poznajemy coraz lepiej Wasze życie. Korzystamy z Waszych osiągnięć. Dzielimy z Wami dumę z Waszych sukcesów, tak jak i Wy — wiemy o tym — cieszycie się naszymi, które zdobywamy natchnieni Waszym przykładem i wsparci Waszą pomocą. Idea socjalistycznego budowania nie tylko fabryk i domów, lecz także dusz ludzkich, przenika coraz powszechniej i coraz prawdziwiej z teorii do praktyki. Świadomość społeczna umie już pojąć równanie między spustem stali w Nowej Hucie i szczęściem, dobrobytem osobistym. Im więcej takiej wiedzy o współzależności pracy ludzkiej i ludzkiego dobra, tym szersza droga do naszej wzajemnej przyjaźni.

Nad Warszawą wieża Pałacu Kultury — dar Waszego narodu. Widać ją, strzelistą i białą, z dalekich okolic, ze wszystkich stron. Dostarcza warszawianom i przyjezdnym tematu do nie kończących się rozmów, roztrząsań, zapatrzeń. Spoglądają i myślą: „od Przyjaciół". Odwiedziny Waszych teatrów, kapel i chórów, baletów, są dla nas radosnymi świętami piękna, harmonii, pogody — wspominamy je długo, czekamy na nowe z niecierpliwością. Czytujemy Wasze czasopisma i gazety. Festiwal Filmów Radzieckich gromadzi w salach naszych kin tysiączne rzesze widzów. W całym kraju zaczął się ciąg imprez kulturalnych, oświatowych, sportowych, organizowanych pod hasłami Miesiąca Pogłębienia Przyjaźni. Ich masowy charakter jest wyrazem szczerej potrzeby, odczuwanej przez miliony mieszkańców naszego kraju. Solidarność przekonań i uczuć — to rezultat społecznego samowychowania w naszym wielkim Froncie Narodowym, któremu przewodzi myśl Partii.

Niedawno rozmawiałem z kolegą - pisarzem o powieści, nad którą właśnie pracuje. Rozważaliśmy przy tej okazji problemy poruszane w tegorocznych dyskusjach radzieckich. Jak należy rozumieć prawdę w epickim obrazie współczesności. Jaki jest w niej udział — najsłuszniejszy — świateł i cieni, jak wyrazić dialektyczną (lecz wcale przez to nie prostą i nie łatwą, że dialektyczną) współzależność ludzkich cierpień i szczęścia, walkę dobra i zła, tego co stare, z nowym... Zastanawialiśmy się zatem, w czym najbardziej różni się stosunek do świata, do życia ludzi nam rówieśnych od tego, jaki mieli ludzie sprzed naszego czasu. I zgodziliśmy się, że rysem wyodrębniającym człowieka naszej ery jest t w ó r c z e odniesienie się do życia, jest rosnące poczucie w s p ó ł o d p o w i e d z i a l n o ś c i za wszystko, co jest, co się staje. I że chyba to nowe moralne poczucie rysuje nasz ślad na drodze przez mękę i na drodze przez radość nadziei do ziemi, którą na nowo stwarzamy. — Jeśli tu zwierzam, Drodzy Przyjaciele, rozmowę powszednią i w niczym nie osobliwą, to dlatego, iż pomyślałem, że i ona — jak tysiące epizodów naszej codzienności — wywodzi się z tego samego natchnienia, z tej samej treści, co treść rozpoczynającego się Miesiąca. A prawda przyjaźni — tak wierzę — jest duża, gdy się objawia i w drobnym drgnieniu myśli.

Wilhelm Mach

G. A. Eczeistow: „Mickiewicz" (drzeworyt).

MAKSYM TANK

NA NOWOGRÓDZKIEJ GÓRZE

Tutaj mieszkał Mickiewicz.
I tu u tej góry
dzisiaj jeszcze poczujesz owych wiatrów powiew,
które stąd w świat nosiły myśli jego chmury
i pod oknami jemu szumiały listowiem.

W noc Dziadów na szczyt wszedłem, gdy powietrze mgławe
tumanem przesłoniło pola i dąbrowy.
I oto nadsłuchuję, wieszcz opuszcza Wawel,
dla swoich stron ojczystych rzuca schron grobowy.

Pewnie mu smutno było całą wieczność strawić,
tam w grobowców i trumien mrocznej kolumnadzie,
że aż tutaj powrócił by w ogniu błyskawic
przysłuchać się Świtezi rodzimej balladzie.

By może na ruinach, gdzie był dom ojcowski,
gdzie pierwsze słowo rzekła jego muza młoda,
dodać w księdze pośmiertnej ostateczne zgłoski
owej zemsty na Niemcach, zemsty Wallenroda.

Nie będę mu przeszkadzał, dziś w tę noc dziadową,
gdy tu przyszedł z zamiarem, niech go ucieleśni.
Tylko zdala posłucham jak grzmotami znowu
jego z bronzu wykute odezwą się pieśni.

Myślałem, że to tylko mi się tak przyśniło.
Lecz tam, którędy przeszedł swym proroczym śpiewem,
na ruinach się wszystko znów zazieleniło,
czerni się tylko ziemia nad wrogów mogiłą,
bo ją jak błyskawicą spalił swoim gniewem.

Przełożył **Stanisław Jerzy Lec**

ANATOL STERN

STALINGRAD

Kiedyś,
po wiekach,
gdy faszyzm będzie już tylko
dawno wysuszonym bagnem,
dawno zapomnianą zamiecią,
i wysoko wzniesie się na świecie całym
budowla Socjalizmu —
najwyższa budowla ludzka, —
w owych dniach
złamany bagnet
w muzeach pokażą dzieciom,
jak dziś pokazują szeroki miecz Etruska.
I powiedzą:
— Dzieci.
Ten kawałek stali złamanej
sprzed setek lat
znaleziono
na przedpolach Stalingradu.
Dzieci,
zgasną słońca, które dzisiaj płoną,
ale ten kawałek wyszczerbionej stali
pamiątką najwyższego bohaterstwa
wciąż będzie świecił
w dziejach ludzkości!
Pamiątką po nieznanym bojowniku
radzieckim,
który drogę do dzisiejszego
jasnego dnia —
tym bagnetem staroświeckim
wymościł.

WSPOMNIENIE

Kiedy taki ogień szedł na Moskwę tą porą,
że zdawało się, pamięć nawet o niej zatrze,
wystawił romantyczne Łabędzie Jezioro
moskiewski balet w kujbyszewskim teatrze.
Rój motylich tancerek wyfrunął na scenę,
jakby z degasowskiego wydarłszy się płótna,
za nimi melodia pieniła się trenem —
o, jakaż była dziwna w tej chwili i smutna.
Na próżno Czajkowski wskazywał batutą
orkiestrze, jak zmiażdżyć, jak zwyciężyć
wroga.
Na próżno... Padała nuta bezsilnie za nutą,
zamierając tam — u straszliwego proga.
I dopiero gdy z rozpaczą w oczach Ułanowa
przed rampę umierającym wpłynęła
łabędziem —
zadrżało serce tłumu!... Zrozumiał od nowa,
że zło zginąć musi — a piękno żyć będzie.

EUGENIUSZ DOŁMATOWSKI

NOCĄ NAD BRZEGIEM WISŁY

Szperał reflektor ręką rozpaloną,
O domy biły ciosy min z westchnieniem,
Kiedyśmy poprzez rondo Waszyngtona
Ku brzegom Wisły biegli pochyleni.

Pożaru swąd zmieszany z wapna pyłem.
Przed dwoma laty, czy pamiętasz bracie:
Ulicą Jemca tak się podchodziło
Pod czarny port w płonącym Stalingradzie.

Wspomnienia nasze pomnażając co dnia,
Marzeniem znów ku tamtym dniom wracamy.
Pośród milczących ulic bez przechodnia
Głucho grzmią blachy dachów pozrywanych.

Tylko tam, w górze, po jesiennym niebie
Powietrzne statki przelatują ciągle.
Oto miarowy, równy warkot przebiegł.
To nad Warszawę „U-2" znowu ciągnie

Nasz „ogrodniczek", „świerszczyk" — „kukuruźnik",
Rodzimy nasz bajeczny władca nieba
Chwalebnym czynem umie się wyróżnić
Warszawskim śląc powstańcom zrzuty chleba.

Grzmią z Marszałkowskiej wściekłe zenitówki,
Czerwone kule nagle niebo przetną.
Wyśmignie im się zwinny i leciutki
Samolot nasz, co niesie dań potrzebną.

W rozblasku martwym rakieta zawisła.
Z czarnego brzegu k.m. się odzywa.
Słuchajcie! Kogoś ku nam niesie Wisła.
Milcz towarzyszu! Ktoś tutaj podpływa.

Jak Europa w legendarnych mitach,
Co stąpa chwiejnie na wilgotnym piasku,
Z fal lodowatych wychodząc, nas wita
Dziewczyna z biało-czerwoną opaską

Brzeg. Granitowa krawędź wału prosta.
Pluszcze toń ciemna w pożaru rozbłyskach.
Rosyjska czujka ją przywita, oraz
Paru żołnierzy polskich w rogatywkach.

Dziewczyna niby przepustkę przed oczy
Sunie radzieckie biszkopty rozmokłe.
To Europa, która we krwi broczy,
Na hasło „U-2" nam przysyła odzew.

Co dużo mówić — dzielą dziś kordony.
Nastąpią jeszcze noty, konferencje...
Lecz tym poselstwem serca są złączone:
Od dyplomacji cenimy je więcej

Znów ciężki pocisk łomotem ogłusza.
Jak strumień szemrze motor na niebiosach,
Znów nad Warszawę „kukuruźnik" rusza,
Nasz „ogrodniczek" znów zadanie dostał

1944

Przełożył **Jerzy Zagórski**

NATALIA ROLLECZEK

Wielka szansa

Zespołowi lekarskiemu w sanatorium im. J. Marchlewskiego w Otwocku.

W tej przestronnej sali jest jak w wiosennym ogrodzie. Jasno, dużo słońca, dzieci na rękach matek. Dwie pielęgniarki mierzą, ważą niemowlęta, udzielają mnóstwa dobrych pouczeń. Z gabinetu pediatry dochodzi krzyk niemowlęcia, który po raz pierwszy zetknął się ze sławną medycyną krakowską i zdecydowanie protestuje przeciwko dalszym tego rodzaju poufałościom.

Wreszcie przychodzi kolej i na mego Kubę, który w sposób niezwykle harmonijny łączy dostojeństwo tłustych policzków, ze sprawnością żwawych nóżek i drapieżnością dziesięciu zębów.

— Dwanaście i pół kilograma, o dwa centymetry za wysoki na swoje miesiące — pada fachowa ocena, za której nieomylność ręczy czarna aksamitka na białym czepku pielęgniarki. — Dziecko wygląda doskonale. Czego zatem pani chce?

— Trochę gorączkuje, pocj się i nie ma apetytu — mamroczę zażenowana kwitnącym wyglądem Kuby.

— Proszę do gabinetu pani doktor.

— Osłuchowo nic w nim nie znajduję — wyrokuje Wiedza Pediatryczna w białym lekarskim fartuchu. — Zrobimy próbę tuberkulinową i pani prześwietli dziecko. Czy było szczepione szczepionką BCG?

— Nie, proszę pani doktor.

— Aha! Więc nie było. Zaraz zrobimy mu pirketa.

II

Na oddziale rentgenologicznym w dziecięcym szpitalu u św. Ludwika można za pięćdziesiąt złotych komfortowo prześwietlić dziecko i otrzymać kliszę.

W obszernej sali, na ławach wokół stołu, tkwią sztywno rodzice, w swej nieruchomości i milczeniu podobni trochę do sędziów przysięgłych. I w ogóle ten pokój nastrojem przypomina salę sądową. Dzieci siedzą cicho, czekają na wezwanie do kabiny, gdzie odbywa się zasadnicza część przewodu — prześwietlenie i zdjęcia.

Przeważają wypadki podejrzane o gruźlicę. Obok drzwi młoda kobieta, o oczach pełnych udręki, wysłuchuje, zagryzając usta, wypowiadanych półgłosem uwag lekarza. Stojący pod piecem sympatyczny mężczyzna w przyniszczonym ubraniu to jej mąż i jednocześnie źródło zakażenia ich dziecka. Żeniąc się z dziewczyną, z nadmiaru miłości zataił, że przed urzędnikiem stanu cywilnego staje z otwartą gruźlicą w płucach. Uchylał się od badań masowych przeprowadzanych po zakładach pracy. Lekceważył niebezpieczeństwo. Uważał, że na zgłoszenie się do poradni przeciwgruźliczej, która wysłałaby chorego do sanatorium, jest jeszcze czas. Tak trwało.

Szczęśliwa mamusia kołysząc maleńkiego synka nie przypuszczała, że razem z nim kołysze ileś tam prątków Kocha przekazanych synkowi od kochającego tatusia. Teraz dziecko ma gruźlicę otwartą.

Lekarz jest zmęczony. Widział tyle setek podobnych wypadków, tylu setkom ludzi tłumaczył, ostrzegał. W poczuciu swego bezowocnego trudu wobec ogromu ludzkiej lekkomyślności mówi z goryczą:

— Młodym parom powinno się dawać ślub tylko wtedy, jeśli wykażą się świadectwem lekarskim, że są wolni od gruźlicy. W przeciwnym razie nigdy nie opanujemy tej choroby.

Młoda kobieta opiera na twarzy mężczyzny spojrzenie, pod którym on pochyla głowę.

— A widzisz, coś ty narobił.

Zabierają chore dziecko, wychodzą.

Stoję z Kubą na rękach, z daleka od zagruźliczonych dzieci. To, co dzieje się wokół, nie dotyczy ani jego, ani mnie. My oboje jesteśmy zdrowi na tej wyspie zakażonych.

Kuba siedzi w kabinie przed ekranem. Ekran drży. Z mgławicy drgającej szarością występuje ciemniejszy beczułkowaty kształt żeber, jasne smużki obojczyków. Łagodnie zaokrąglony kształt malutkich łopatek. Skończone. Jeszcze teraz zdjęcie. Po pierwszym nieudanym — drugie i trzecie. Zapalone światło przywraca kabinie realny wygląd.

— Proszę przyjść jutro po wynik.

III

Jestem w tej samej sali po wynik. Prócz mnie nikogo z interesantów nie ma. Doktór Gzyl dobry, zatroskany medytuje nad stosem klisz, podstawia każdą pod światło tak, ażeby obraz padał na powiększający ekran, po czym wolno dyktuje maszynistce opis zdjęcia

— Infilitratio, pneumonia... — gorliwie stukoce maszyna.

Ściany odpowiadają milczeniem. Ma się wrażenie, że pod ścianami chwieją się cienie tych, którzy rano przyszli i odeszli. Każde klapnięcie czcionki wybija im jakiś ostrzegawczy i groźny sens. Wyrażone w łacińskich terminach rodzą się orzeczenia, które przewartościowują życie jednostek nadając im nowy kierunek — rozpaczy czy nadziei.

Podchodzę, witam się, proszę o opis płuc mego synka.

Doktor grzebie, szuka, wreszcie wyciąga klisze. Patrzę z zainteresowaniem na powiększony na ekranie obraz Kubowego wnętrza. Lekarz zatrzymuje się przy ostatniej kliszy i z entuzjazmem rzetelnym dobrze wykonanej roboty odzywa się głośno:

— Tak. Z tego zdjęcia jestem zadowolony. Teraz nie ulega wątpliwości, że dziecko zakaziło się gruźlicą.

Doktor Gzyl wypytuje teraz o przyczyny choroby. Nie. Od nas nie mógł się zarazić. My oboje z mężem badaliśmy się kilkakrotnie. My jesteśmy zdrowi. To tylko nasz synek jest chory.

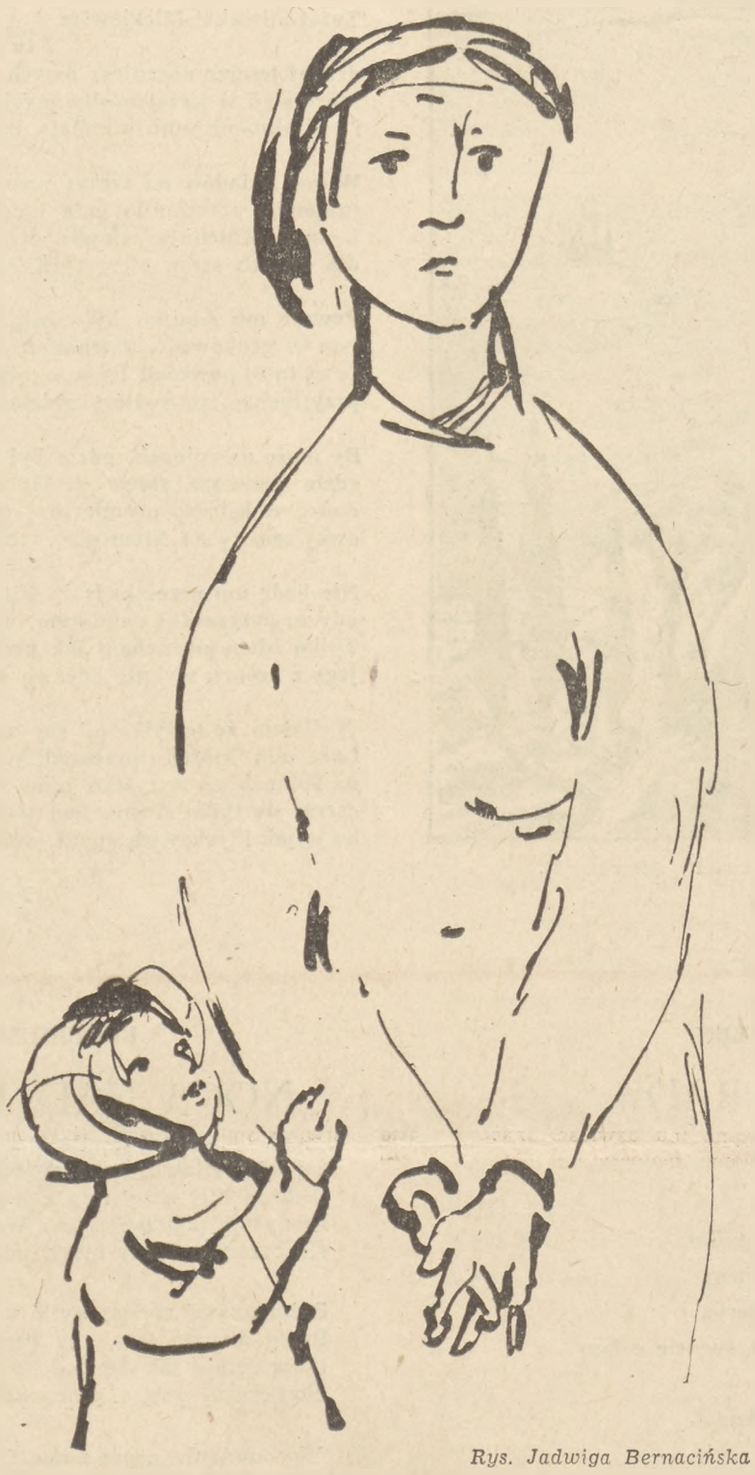

Rys. Jadwiga Bernacińska

IV

Kraków przedstawia mi się jako jedna, jasna plama, w której wyraźnie występuje kilka punktów połączonych jedną czerwoną linią wysokiego napięcia. A więc — Poradnia dla Chorego Dziecka, Rejonowa Poradnia Przeciwgruźlicza, Centralna Poradnia Ochrony Macierzyństwa i Zdrowia Dziecka, Wojewódzka Centralna Poradnia Przeciwgruźlicza. Posuwając się od punktu do punktu drepczę w szeregu matek przeżywających to samo, co ja.

Jest zima, w oknach wystawowych poprzez śnieżyste paprocie drżą i migocą kolorowe bańki. Plac rynkowy porósł w zielone drzewka. Tu, na białych polankach, w kosmatej gęstwinie stoją anielskie kramy. Złote i srebrne gwiazdki, śnieżek, błyszczące kule, skrzydełka, całe niebo kupić można, mając w kieszeni sto złotych. A ja tymczasem razem z innymi matkami podpieram ściany poczekalni. Patrzymy na padający puch i gwarzymy o kaszlu, o kreskach temperatury, o prątkach.

— Sanatorium im. Marchlewskiego w Otwocku jest jedynym w Polsce, które przyjmuje niemowlęta — poucza mnie siwa pani, pełna życzliwości dla wszystkich strapionych matek, pracująca w Poradni Przeciwgruźliczej na ulicy Krowoderskiej. — Tam dziecko będzie mieć najlepszą opiekę lekarską. My zasadniczo nie wysyłamy dzieci do Otwocka, bo to nie nasz okręg, ale niech pani złoży podanie. My postaramy się dopomóc. Wniosek jeszcze dzisiaj będzie gotów. A gdyby wyjazd się odwlekał, będziemy leczyć dziecko streptomycyną, tutaj.

Wniosek jest. Uczenie uzasadniony, że obywatel taki a taki... wskazane leczenie klimatyczne, nizinne.

— Ale to musi zatwierdzić Centralna Poradnia Przeciwgruźlicza na Skawińskiej. A kiedy już zatwierdzi, trzeba czekać na miejsce w sanatorium — pada ostrzeżenie.

Pobyt w Centralnej Poradni wzbogaca mnie o nową troskę. „Mamy bardzo wiele zgłoszeń. Chcemy umożliwić leczenie sanatoryjne wszystkim chorym dzieciom. Proszę złożyć podanie i czekać".

Siwa pani z Poradni na Krowoderskiej wysłuchawszy moich skarg mówi cicho:

— Proszę iść na ulicę Zamenhofa, ostatni dom na lewo. — Jasio Kubarek. Był rok w Otwocku. Niech pani koniecznie tam pójdzie i porozmawia z jego matką. — Widząc wahanie na mojej twarzy, dodaje z naciskiem — Tak, pani tam p ó j d z i e. Najlepiej z a r a z, jutro.

V

Kamienica jest bardzo stara. Posuwam się korytarzem sutereny. Po drodze trącam jakieś paki, wiadra, w ciemnościach szukam po omacku za klamką. Płacz dziecka i smużka światła służą za drogowskaz.

Mieszkanie takie, że i sam Zavattini lepszego by nie wymyślił. Malutkie okienko uczepiło się bruku, na blasze syczy baniak z bielizną, suszą się jakieś łachy. Krzywa podłoga, kilka obrzydliwych gratów. Z kąta zasłoniętego kocem dochodzi postękiwanie dziecka. Matka Jasia też jak z włoskiego filmu. Tragiczna uroda młodych, pięknych oczu i bezzębne usta. Kubarkowa mówiąc zasłania je dłonią. Zęby wypadły jej po porodzie — tłumaczy się zakłopotana.

Gwarzymy sobie cichutko, bo w kącie śpią dzieci. Na wspomnienie Otwocka kobieta cała promienieje. Jasio miał dwa latka, kiedy go tam zostawiła. Tak płakał, za nic w świecie nie chciał bez niej zostać, a potem tak się przyzwyczaił, że na pielęgniarkę mówił — mama. I przytył. Kloc się z niego gruby zrobił, że go podźwignąć nie można. W sanatorium chcieli go jeszcze zostawić, żeby całkiem wydobrzał. Ale głupie serce matki tęskniło. Zabrała go i teraz żałuje. W tym przeklętym mieszkaniu puściła mu się ropa z uszka. Już złożyła podanie na Skawińską, żeby go z powrotem wysłali do sanatorium.

I nagle pada pytanie:

— Jakby mój mąż pracował na Hucie, dostałby tam mieszkanie, prawda? — Ciemne oczy wpijają w moją twarz trwożne spojrzenie. — Dali by mieszkanie, prawda? Bo mój stary chce iść od pierwszego na Nową Hutę.

— Pewnie, żeby dali — odpowiadam apatycznie, żegnam się i wychodzę.

Jest późny wieczór, padają duże płaty śniegu. Przysiadam na skraju ławki. Kuba nie pojedzie rychło do Otwocka. Przecież tacy, jak Jasio Kubarek mają pierwszeństwo do miejsca w sanatorium. Jego dzieciństwo to właśnie ta krzywa podłoga, te łachy na piecu. On odzyskał radość dopiero w sanatorium. A teraz śpi umęczonym snem popłakując z bólu.

VI

Do pokoju, który jest pracownią moją i Bogumiła, naszą sypialnią, pokojem dziecinnym i w ogóle wszystkim — przytyka publiczny klozet krakowskiego Domu Związku Literatów Polskich, czynny przez całą dobę. Mamy z nim wspólny przedpokój. Za pierwszym trzaśnięciem drzwiami klozetu, od którego drży nasz pokój, Kuba budzi się. Błyszczące od gorączki oczy wlepia w mleczną kulę lampy. Zasnął z trudem, a oto nowe trzaśnięcie drzwiami wyrywa go z niespokojnego snu.

Wtedy chowam twarz w poduszkę, żeby nie krzyczeć z nienawiści. Rano spotykam moich sąsiadów. Nie chce mi się wierzyć, że ci uspołecznieni, chodzący na szkolenia ideologiczne sąsiedzi są tymi, którzy co noc walą z całej siły drzwiami. Zapytani, dziwią się głośno. Nie wiedzą o niczym. Wierzę im. Któż chciałby rozmyślnie dręczyć malutkiego, chorego chłopczyka budząc go kilkanaście razy w nocy?

Przychodzi następna noc i powtarza się to samo. Kuba nie śpi całymi godzinami. Dajcie mi dla niego miejsce w sanatorium!

VII

— 27 stycznia 54 roku zgłosi się pani z dzieckiem do sanatorium im. Marchlewskiego w Otwocku. Miejsce będzie. Tak, będzie na pewno.

Wspaniały, imponujący, autorytatywny prof. dr. Franciszek Groer, naczelny lekarz sanatorium im. Marchlewskiego, kładzie swój podpis na zleceniu.

Na pożegnanie ściska mi rękę:

— Wygrała pani wielką szansę — za kilka miesięcy przywiezie pani dziecko zupełnie zdrowe.

VIII

Jesteśmy w sanatorium im. Marchlewskiego z Kubą. Śnieg, cisza, biało. Kilkanaście niskich, długich pawilonów drewnianych rozrzuconych w rzadkim lesie sosnowym.

Lekarz dyżurny zapisuje Kubę. Szybko śmiga pióro. Padają steoretypowe pytania. Odpowiadam i niepokój mój wzrasta. Chciałabym przekazać lekarzowi całą swą wiedzę o Kubie. Jego lęk przed zasypianiem w ciemnościach, skłonności do chorób żołądka, łatwość budzenia się w nocy.

— Nic nie szkodzi — odpowiada lekarz beztrosko, — my go tu naprowadzimy.

Wstaje. Sprawa zakończona. To, o co zabiegałam przez kilka miesięcy, już się stało.

Z gabinetu lekarza wychodzimy na korytarz. Kuba okrągły i pucołowaty krąży wokół ścian. Niczego nie podejrzewa. Wiem, że za chwilę trzeba będzie odejść. Grzebię w teczce i wyjmuję jakieś zbyteczne zabawki, książeczki...

— Nie trzeba... — rzuca przechodząca korytarzem pielęgniarka. — Tutaj dzieci mają zabawki...

Nadchodzi inna pielęgniarka. To ona właśnie ma zabrać Kubę do obserwacyjnego baraku C. Patrzę pilnie w jej twarz, jak gdybym miała wyczytać z niej losy Kuby. Twarz jest gładka, zamknięta.

— Jak on się nazywa? — pyta pochylając się nad nim.

— Paweł. Ale my nazywamy go Kubą. Proszę tam mówić do niego Kubusiu. Koniecznie! Niech siostra nie zapomni! — błagam namiętnie, jak gdyby od tego miało zależeć wszystko.

— Dobrze, dobrze... — śmieje się i bierze Kubę w ramiona. Wychodzi z nim na korytarz. Widzę przez okno, jak brnie po śniegu. Oboje znikają w drzwiach baraku.

Za chwilę siostra wraca. Niesie w kocyku Kubowe ubranka. Trochę miękkiej wełny i już żadnego śladu, że był tu przed chwilą. Wpadł w puszysty śnieg jak kamyczek w wodę. I tylko ta garsteczka ubrania. Jest bardzo biało, cicho. Aż boli. Wracamy.

IX

Czternastego lutego jestem ponownie w sanatorium im. Marchlewskiego. Rozmawiam telefonicznie z lekarką oddziałową.

— Paweł Korombel? — brzmi łagodny głos w słuchawce. — Owszem, może go pani zobaczyć. Przez okno, naturalnie...

Zostawiam Bogumiła na portierni i biegnę. Zrównawszy się z barakiem, przestaję biec i kroczę statecznie wzdłuż ściany zaglądając do każdego okna. Jak na razie, nigdzie Kuby nie widzę. W malutkich, czystych pokoiczkach stoi po dwa łóżeczka, a w każdym łóżku, w kolorowej pidżamce, siedzi dziecko. Mijam bledziutkiego chłopczyka z ostrzyżoną główką, w czerwonej pasiastej flanelce. Chłopczyk patrzy apatycznie na mnie, po czym odwraca główkę. Idę dalej. Minęłam połowę baraku i Kuby jeszcze nie ma. Lekarka uchyliła okna i woła na mnie. Wracam. Podchodzę i staję na wprost szyby. Lekarka trzyma na rękach tego bledziutkiego chłopczyka.

— Tu ma pani swojego synka.

Sztywnieję z przerażenia. Już wiem. Kuba umarł i żeby oszczędzić mi pierwszego wrażenia pokazują mi to oto dziecko. Wybucham płaczem. Lekarka patrzy na mnie zmieszana:

— Dlaczego pani płacze?

— Bo to nie jest mój Kuba.

Lekarka patrzy na mnie bez słowa. Pielęgniarka która przed chwilą weszła, wybiega. Po kilku minutach wraca z jakimś chłopczykiem na rękach.

— To może ten?

Spoglądam i odwracam głowę nie mogąc znieść widoku obcej twarzyczki.

— Nie, to też nie jest Kuba. Gdzież on jest?

Teraz z odrobiną zniecierpliwienia odzywa się lekarka:

— No, jeśli pani nie wierzy, że to jej synek, to proszę się przejść środkiem baraku, rozejrzeć wśród dzieci.

Mój płacz ściągnął kilka pielęgniarek. Szepcą, spoglądają na mnie, słyszę zgorszony głos: „Jak to, własnego dziecka nie poznaje?"

Tego nie mogę już znieść. Jakżebym nie poznała własnego dziecka? Ale cóż ten wychudły, apatyczny malec ma wspólnego z Kubą? Płaczę tak, jak gdyby serce miało mi pęknąć.

Tymczasem przychodzi Bogumił wezwany telefonicznie przez lekarkę. Rzuca okiem na chłopczyka, który już krzywi się do płaczu i głosem podenerwowanym oznajmia:

— No tak... to jednak jest Kuba.

Odwraca się i odchodzi na bok. Nie chce patrzeć w okno.

— A widzi pani — oznajmia z ulgą lekarka przymykając okno. — Niepotrzebnie się pani zdenerwowała. Proszę przyjść jutro, bo teraz dzieci dostają obiad.

Udaję się do gabinetu prof. Marii Skokowskiej, dyrektora całego zakładu. Z samego słuchania jej łagodnego głosu spływa na mnie uspokojenie. Przestaje mną miotać niepewność o Kubę.

Rozmowa z profesorem lekarzem uprzytamnia mi, że poza Kubą są tu przecież setki innych dzieci. Dziesiątki pawilonów, z których każdy ukrywa grozę śmierci i niewysłowioną słodycz powrotu do zdrowia.

✣

Jest już maj Kuba bawi się koło mnie. Pobyt w Otwocku sprawił, że przestał gorączkować, sypia spokojniej.

Przede mną leży kilkanaście stron notatek poczynionych w sanatorium. Moim obowiązkiem jest stworzyć z nich jakiś pełny obraz. Wątpię, czy potrafię. Byłabym szczęśliwa, gdybym zdołała ukazać te triumfy i klęski, ten upór i długie czekanie, które żyją zamknięte w ścianach baraków.

600 łóżek! Sześćset istnień, którym trzeba przywrócić zdrowie, zdolność do nauki i pracy, do życia. Wszystkie postacie — od gruźlicy naczyń chłonnych do meningitis — z wyjątkiem gruźlicy kostnej.

W tej liczbie sześćset łóżek jest piętnaście takich, o których się mówi — izolatki.

Jestem właśnie w jednej z takich izolatek. Znajdują się w niej trzy łóżka. Trzy młodziutkie, kil-

(Dokończenie na str. 7)

CZŁOWIEK USTOKROTNIONY

Przemiany nauki

Dotarł do moich rąk list Jana Sikorskiego, ucznia VII klasy szkoły we wsi Augustynówek, woj. kieleckiego. Ten młody człowiek pisze tak: „...słuchając radia, usłyszałem opowiadanie o wyprawie międzyplanetarnej na Wenus. Od dawna ciekawi mnie ta planeta i chciałbym się dowiedzieć, czy były organizowane jakieś wyprawy na Wenus, kiedy i przez kogo?"

Moi dorośli czytelnicy uśmiechną się. No tak, nie ma nas jeszcze na Wenus. Ale czy do tego tak bardzo znów daleko? Czy wiadomość o losie rakiety międzyplanetarnej zadziwi nas? Na pewno nie. Przecież mówi się o tym jako o planie całkowicie realnym. Doprawdy, jedną z najbardziej zadziwiających rzeczy na świecie jest to, że się dziś niczemu właściwie nie dziwimy. Postęp naukowo - techniczny dawno już na głowę pobił najtęższych naśladowców Vernego i Wellsa. Jeden z najmądrzejszych, Olaf Stapledon (bawił w Polsce na kongresie wrocławskim w 1948 roku) napisał książkę, której akcja obejmuje dwa miliardy lat — całe dzieje ludzkości. Odważnie, nieprawdaż? I na kiedyż to ten fantasta przewidział wyzwolenie przez człowieka energii atomowej? Na rok 150 000 naszej ery! Pisząc tak, kierował się zdaniem najwybitniejszych uczonych swego czasu (pisał tę książkę w 1933 roku). Tymczasem rzeczywistość wyprzedziła przepowiednię dokładnie o 149 988 lat! I jakże tu teraz uśmiechać się z wyższością nad listem ucznia szkoły powszechnej ze wsi Augustynówek? Pośpieszył się nieco ze swym pytaniem — to i wszystko.

Lista odkryć i wynalazków wzbogaca się w naszych czasach z każdym miesiącem, jeśli nie tygodniem. Z początkiem tego roku nasza Galaktyka utraciła swe uprzywilejowane miejsce w Kosmosie. W średniowieczu mniemano, że Ziemia, wybranka Niebios, wisi w centrum Wszechświata. Kopernik „zdetronizował" Ziemię; potem jednak przypuszczano, że przynajmniej cały nasz układ słoneczny znajduje się w środku Drogi Mlecznej. I to okazało się nieprawdą: nasz układ leży gdzieś w rozziewie ramion gwiazdowych — na peryferii, na dalekiej „prowincji" galaktycznej... Ale pozostawało jeszcze ostatnie pocieszenie: dane astronomiczne wskazywały, że nasza Galaktyka jest największa ze wszystkich dostrzegalnych przez teleskopy na niebie. A więc jednak podstawa — choć nikła — do jakiegoś „patriotyzmu lokalnego" w skali Drogi Mlecznej... Niestety, i to zawiodło. Okazało się teraz, że wszystkie wymiary międzygwiazdowe trzeba pomnożyć przez dwa, aby uzyskać wyniki zgodne z rzeczywistością. Wszechświat widzialny niejako dwukrotnie się rozszerzył. Tym samym wielkość dostrzeganych obiektów gwiazdowych należy poddać odpowiedniej poprawce — i oto nasza Droga Mleczna okazuje się zupełnie zwyczajną, przeciętną, szeregową Galaktyką — jedną z wielu...

Ale nasz świat rozszerzył się nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie. Uczeni w Kanadzie odkryli ślady pierwotnych organizmów żywych w geologicznych pokładach, liczących sobie 2 600 milionów lat istnienia. Dotąd uważano powszechnie, że życie powstało na Ziemi jakieś 2 miliardy lat temu — obecnie trzeba dodać do tej liczby jeszcze jeden miliard; jesteśmy (wliczając do rachunku oczywiście także czcigodnych przodków z głębi oceanu) więc starsi znacznie, niżeśmy sądzili...

Nie zawsze tak łatwo można wprowadzać poprawki do inwentarza swej wiedzy. Gorsza sprawa z najmniejszymi cząstkami materialnymi, które ostatnio mnożą się w sposób wprost zastraszający. Okres rozkosznej prostoty, kiedy to prócz elektronów, protonów i neutronów istniały tylko pozytrony i co najwyżej neutrino — należy do przeszłości. Trzeba się na nowo uczyć, wiek przeminął złoty... Powstała dziś cała, ogromna rodzina mezonów: są mezony „pi" i „mu" i „tau" i „kappa" i „chi" i „teta", słyszę nawet o jakichś hyperonach i jeszcze innych cząstkach neutralnych i naładowanych ujemnie... Brak już niemal liter greckiego alfabetu, a tymczasem w potężnych przyśpieszaczach elektromagnetycznych wytwarza się sztucznie coraz to nowe cząstki. Mówi się już nawet o ujemnym protonie, jako najbliższym, oczekiwanym odkryciu. Jakże tu jeszcze mówić o cząstkach „elementarnych", skoro ich tak wiele, i skoro, co gorsza, wszystkie mogą w siebie wzajem się przemieniać? Cóż z tego, że to twory dość efemeryczne — bo niektóre „żyją" nie dłużej, niż dziesięciomilionowe cząstki sekundy, ale przecież istnieją, pozostawiając ślady na kliszach fotograficznych, w komorze Wilsona... Co takiego dzieje się właściwie w fizyce — czy naprawdę wszystko, co dotąd było wiadome, jest już nieważne, nieprawdziwe?

Do takiego wniosku doszedł jeden z moich kolegów, który w rozmowie ze mną powoływał się właśnie na ostatnie odkrycia, by głosić sceptycyzm: wszystko się zmienia, to, co ważne i prawdziwe było wczoraj, traci wagę dziś, a prawda dzisiejsza ustąpi jutro nowej. Fatalnie mylił się ów mój rozmówca. Podobne do opisanej rewolucje zachodzą w laboratoriach i pracowniach uniwersyteckich nieustannie — od czasu, kiedy powstała nauka. Stara wiedza, stara teoria nie jest zupełnie fałszywa, jest tylko niedokładna. Przez pewien czas nowozbierany materiał mieści się w istniejących teoriach. Potem, gdy nowe narzędzia obserwacyjne i nowe metody pozwalają na odkrycie nowych faktów, ilość przechodzi w jakość: stara teoria ustępuje miejsca nowej, która w sposób dokładniejszy, bardziej zgodny z rzeczywistością odzwierciedla przebiegi zjawisk otaczającego nas świata. Proces ten toczy się wciąż i wciąż — i końca mu nie widać. Jak dotąd, teoria względności cieszy się poważaniem, ale już czytałem o pewnych różnicach pomiędzy wynikami, które ona przepowiada, a obserwowanymi zjawiskami ugięcia światła w pobliżu gwiazd. A więc w przyszłości pojawi się, zostanie stworzona nowa teoria? Zapewne. Nie ulega wątpliwości, że nigdy nie nadejdzie chwila, w której człowiek dokona „ostatniego" odkrycia, by zapisać je do księgi poznania i zatrzasnąć ją na zawsze. Nigdy nie będzie wiadome „wszystko". Czy to źle? Pytanie niezbyt rozsądnie postawione, bo odnosi się nie do spraw ludzkich, lecz do samej istoty materii, budulca wszystkiego, co istnieje. A przecież odpowiem na to nierozsądne pytanie. Wydaje mi się, że majacząca przed nami droga poznania, jako nie kończący się w czasie proces nieustannego zgłębiania zjawisk i równoczesnego wynikania zagadek, jako wieczne postępowanie naprzód, wieczne dążenie i dociekanie — jest bodaj najwspanialszą i najbardziej godną zachwytu cechą świata, w którym żyjemy.

Stanisław Lem

ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI

Siła moralna rewolucji

NOWA powieść Konwickiego dała mi wiele do myślenia i pozwoliłem sobie zanotować kilka chaotycznych uwag, odbiegających zresztą od samej materii „Władzy".

1. GENIUS LOCI

Akcja całej powieści (z wyjątkiem krótkiej podróży Mikołaja do Komitetu Wojewódzkiego) odbywa się w fikcyjnym miasteczku Janowie pod Łodzią, i w okolicy. Znajdujemy się więc na terenie jednej gminy. Otóż w dotychczasowej naszej twórczości „produkcyjno-wiejsko-politycznej" mamy do czynienia z „terenem" abstrakcyjnym, o wyglądzie stale jednakowym, jak na banalnym afiszu wzywającym do zakładania wzorowych stodół, czy kurników. W literaturze tej czujemy jakby lęk przed przedstawianiem różnych form obyczajów. Polska nie jest co prawda krajem łatwym do opisania, ponieważ pod pozorem szarzyzny ukrywa ona wielką rozmaitość sposobów życia. Zrozumienie takiego kraju wymaga doświadczenia, kultury i daru obserwacji, znacznie bystrzejszego niż w malowniczych okolicach tropików czy Europy. Od artysty mamy jednak prawo wymagać, by swoje zmysły wyczulił bardziej, niż my to potrafimy z naszymi stępionymi organami. Baudelaire żądał — może przesadzał — by pisarz wydoskonalił swój węch jak pies. Twierdził on, że Paryż czuć stęchłą kapustą i gdy w Belgii — której nienawidził — poczuł przypadkiem ten zapach, wzruszył się tak bardzo, że mu łzy w oczach stanęły. Nawet najbardziej kosmopolityczne i standartowe miasta mają swoją charakterystyczną muzykę. Majakowski stojąc na moście brookłyńskim słyszał rytmiczny piekielny hałas, „jakby ktoś statki przesuwał w kredensie". Zgiełk ten pochodzi od echa, ze strony Manhattanu i Hudson River, odbijających hałas Nowego Jorku. Dziwny ten dźwięk opisuje także John dos Passos i Sinclair Lewis.

Pewien starszy człowiek, który zwiedził cały świat i był nawet w Kalkucie, opowiadał mi, że po powrocie do Warszawy po wojnie, nie mógł poznać miasta, w dodatku nie spotkał nikogo znajomego i położył się wieczorem do łóżka bardzo zgnębiony. W momencie gdy przykładał głowę do poduszki, usłyszał głuchy zgiełk — taki sam jak przed laty, niepodobny, jak twierdzi, do niczego we świecie. Warszawiacy bowiem hałasują jakoby w sposób sobie tylko właściwy, odmienny niż w kilkuset miastach kuli ziemskiej, które widział mój znajomy.

W wierszach naszych młodych poetów, z bojowego okresu 1949-50, nie znajdujemy jednak klimatu Warszawy ani prowincji polskiej. Pochodzi to stąd, że młodzi lirycy, zamiast wsłuchać się w rytm swojego kraju, ślepo imitowali Majakowskiego. Rosyjscy poeci — jak zapewniają nas świadkowie — odtwarzają rzeczywistą atmosferę rewolucji 1917 r. Gdy oglądamy filmy z owego okresu, jak „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem" Eisenteina, widzimy jak Majakowski pasuje do nastroju ulic Leningradu owego okresu. Jego okrzyk, jego pasja, jego gwałtowna, plakatowa agitacyjność daje ton równoległy do obrazów, jakie pokazuje Eisenstein: bezustanne demonstracje na ulicach, przerywane warkotem „maximów", wielometrowe transparenty i setki mówców o potężnym głosie, pośród burzliwego tłumu, nocne patrole przy ogniskach i wreszcie szturm na Pałac Zimowy, poprzez monumentalny plac...

Rewolucja w Polsce miała ton zupełnie inny. Przyszła ona po straszliwej katastrofie lat 39—45, która udręczyła cały naród. Zwyciężyła nie w postaci gwałtownych starć ulicznych, w których wyładowuje się od lat nagromadzona wściekłość ludu, ale jako rezultat refleksji, którym akompaniowały „długie nocne rodaków rozmowy". Dywersja zbrojna po roku 1945 nigdy nie miała tego charakteru, co wojna domowa Kołczaka czy Denikina; była ona pokątna, „bandycka", na marginesie — nie wewnątrz społeczeństwa.

Dlatego poeci imitujący klimat Majakowskiego i hałasujący wielkim głosem, sprawiają wrażenie ludzi, którzy zatkawszy sobie uszy i zasłoniwszy oczy, wrzeszczą bez potrzeby, budząc dokoła zdziwienie i zaskoczenie. Wiersze ich z biegiem czasu tracą na znaczeniu, i już dziś, po paru latach, nikt do nich nie wraca. Bardziej autentyczną atmosferę naszego kraju znajdujemy u pisarzy, których utwory zrazu nie osiągnęły wielkiego rozgłosu. Wiele np. klimatu Warszawy znajdujemy w „Miejscu urodzenia" Bartelskiego. Mam wrażenie, że stroniczka odtwarzająca niedzielną zabawę na Saskiej Kępie, jest jedną z najwierniejszych w tonacji, pośród rzeczy napisanych o obyczajach stolicy. Bohater Bartelskiego stykał się przed laty z towarzystwem warszawskich knajaków i węglarzy i nabrał cech niefrasobliwości, uporu i mało pogłębionego sposobu żartowania, po którym na końcu świata poznaje się obywateli Ochoty. Ulubioną jego rozrywką było niespodziane oblewanie wodą z pompki par, ściskających się wieczorem pod krzakami z komentarzem: „Panie, nie rozpalaj się pan". Widzimy jak po latach nieszczęść, w okresie odbudowy, bohater „Miejsca urodzenia" nie wyzbył się tych cech swego charakteru, ale nadał im nowe znaczenie. Czytając wiersze J. M. Gisgesa, rozpoznajemy charakterystyczny nastrój okolicy, zawartej w trójkącie Radom — Lublin — Kielce, podniesionej dzięki Żeromskiemu do rangi klasycznej prowincji polskiej. Obok charakterystycznych cech pejzażu tego kraju, niegdyś typowo ziemiańskiego, z jego ubóstwem, spokojem, powolnością i refleksyjnością mieszkańców — Gisges pokazuje narastającą nadzieję, wstrzemięźliwą i niewybuchową, ożywiającą dziś powolne miasteczka Kielecczyzny.

We „Władzy" znajdujemy próbę odtworzenia miasteczka polskiego w okresie powojennym. W obrazie tym zastanawia nas syntetyczność. Nie jest to bowiem typowa okolica Łodzi, lecz połączenie cech różnych prowincji polskich. Zapewniano mnie — czego sprawdzić nie mogę nie znając tego terenu, że sposób powiązania wiejskiego przedpola (np. bandy Derkacza) z miasteczkiem przywodzi na myśl Wileńszczyznę, skąd pochodzi autor. W każdym razie, odnajduję tu rytm charakterystyczny dla mojego kraju (Lubelszczyzny). Miasta w tej okolicy rozbudowane zostały za Mikołaja II, i mają architekturę żółtych kamienic i fabryk z metalowymi bramami, w stylu do dziś przez miejscowych zwanym „mikołajewskim". Dworce budowane były daleko za miastem, w nadziei, że ośrodki się rozrosną i „dojdą" do linii kolejowej. Rozbudowa ta nigdy nie nastąpiła, dzięki czemu wytworzył się charakterystyczny rytm życia. Koło dworca skupiło się ruchliwe środowisko handlowe, jednakże o charakterze koczowniczo-prowizorycznym. Klimat takiego dworca świetnie opisał Reymont. Miasto właściwe było daleko, odcięte, nieruchawe, nasiąknięte obyczajem ziemiańskim „z waszecia". W Lublinie linią centralną było „Krakowskie Przedmieście", gdzie o ustalonych godzinach, nie spiesząc się, w nastroju „towarzyskim" wszystko można było załatwić. „Dworzec" i „miasto" stanowiły dwie granice rytmu — podział niezrozumiały np. w Warszawie, czy w Paryżu. Ze wzruszeniem rozpoznałem w Mikołaju człowieka żyjącego rytmem „dworca" i zabłąkanego w „mieście", podczas gdy Korejwa i mecenas Cieszkowski są ludźmi „miasta", nawet w nieznacznych swoich odruchach (mecenas chodzi po ogródku „drobnym kroczkiem adwokackim"). Podczas realizacji planu 6-letniego ten podział, aktualny jeszcze w pierwszych latach po wojnie, został rozbity. „Dworzec" i „miasto" przeniknęły się wzajemnie. Zniknął „deptak interesów o 5-ej popołudniu" w postaci Krak. Przedmieścia (w Lublinie), zastąpiony przez kilka centrów ekonomicznych i kulturalnych, połączonych ze sobą bezustannym ruchem. We „Władzy" jest już odnotowana zapowiedź tej zmiany rytmu życia, w postaci przeprowadzki Mikołaja i zamieszania, jakie następuje po dymisji Korejwy. Uroczysty sposób, w jaki podróżuje mecenas, właściwy dla kogoś z „miasta", niełatwo zabierającego się do wyjazdu, jest studium obyczajowym „rytmu życia", którego oglądamy ostatnie przykłady, znikające w naszych oczach.

2. KOMPLEKS PROLETARIUSZA

We „Władzy" nie spotykamy „kompleksu proletariusza", który trawi nasze piśmiennictwo po wojnie. Kompleks ten pochodzi stąd, że autorowie — inteligenci uważają ludzi pracy fizycznej za różnych od siebie samych. Ta świadomość odmienności objawia się albo w kulcie proletariusza, płynącym z poczucia winy i z „lęku" wobec niego, lub w podejściu „pedagogicznym", w gruncie rzeczy ukrywającym wzgardę. Do dziś panoszy się w dziennikarstwie sposób mówienia o robotnikach jakby byli dziećmi, i zwracania się do nich w tonie eksplikacyjno-uproszczonym, co ma im umożliwić strawienie przygotowanej dla nich papki umysłowej. Przez pewien czas pracowałem w redakcji, gdzie główny reportażysta był specem od owej upokarzającej „jałmużny kulturalnej". Albo się litował: „Biedna, stara Jachowa patrzy na nas załzawionymi od ropnia oczyma — tyle się napracowała przed wojną w złych warunkach", albo ochoczo protegował: „Józef dokształca się po nocy, bo chciałby wyjść na człowieka" (domyślne: którym nie jest). Pewnego dnia ktoś rzucił w niego butelką, gdy przeprowadzał wywiad w kantynie robotniczej. Kiedy indziej przyszedł do redakcji jakiś „Józef" opisany przez naszego kolegę i chciał go uderzyć teczką, w której miał parę kluczy francuskich.

Niemniej irytujące jest automatyczne ubóstwienie proletariusza, które również przekształca go w nie-człowieka. Na zjeździe, gdzie przemawiali wybitni uczeni, zapowiedziano „przedstawiciela robotników Górnego Śląska", co sala powitała oklaskami tak hucznymi, jakby miał wystąpić sam profesor Einstein. Wszedł na estradę młody mężczyzna i śpiewnym głosem, wywracając oczyma, zaczął: „Ja syn ciemnej oficyny — gdzie jedynym promykiem światła — była wasza nauka polska — z której kart ssałem jak z piersi matki" itd. itd. Byłem raz na dyskusji nad filmem, z udziałem „korespondenta wiejskiego". Po zagajeniu historyczno-teoretycznym, dokonanym przez znanego krytyka, głos zabrał korespondent, staruszek o chytrym spojrzeniu, który w godzinnym przemówieniu zapewnił nas, że dzięki „Włodzimierzowi Iljiczowi ustał wyzysk chłopa przez robotnika". Gdy przewodniczący po długim zmaganiu się z sobą zwrócił mu uwagę, że dyskusja ma za temat film przed chwilą wyświetlony, mówca przytaknął „właśnie", poczym w następnej godzinie dowodził, że „dzięki Włodzimierzowi Iljiczowi ustał wyzysk..." itd. Z marginesu nieszczerości, powstałego na granicy klas, korzystają różni spryciarze. Margines ten był, oczywiście, znacznie większy przed r. 1939. Ciekawym dokumentem jest tutaj groteskowa satyra Gombrowicza „Ferdydurke". Występuje w niej „ludoman" — parodia działacza sanacyjnego — ogarnięty manią „bratania się z chłopem". Nocami marzy on o kmiotkach, powtarzając przez sen: „Parobas, parobas, parobas nas zbawi". Postanawia wreszcie udać się z przyjaciółmi na wieś i przywdziewa w tym celu spodnie wycieczkowe „pumpy". Gdy ekspedycja z wyciągniętymi ramionami zbliża się do wsi, chłopi uciekają w las jak przed zarazą, ci zaś, którzy nie zdążyli, chowają się po dołach kartoflanych, lub udają psy, ujadając w budach: „My nie „kmiotkowie"! Z nami się nie bratać"! My już raczej psy! MY LUDZIE!

Jako dziecko byłem świadkiem ciekawej sceny. Na podwórze przyszedł ubogi Żyd — handlarz starzyzną. Jeden z chłopców uderzył go kamieniem. Ojciec chłopca, zapewne idealista — demokrata, kazał małemu przeprosić starca i pocałować go w rękę. Gdy zapłakany chłopiec zbliżył się do biedaka, ten spojrzał z niesmakiem: „Co taki brudny bachor ma mnie zaślinić", poczem odszedł z pogardą. Nędzarz ten nie chciał być przedmiotem teatralnej wzniosłej manifestacji, nie pragnął być „skrzywdzony", „szlachetnie przeproszony" itd. — uważał się za człowieka jak każdy inny.

Sukcesem „Władzy" jest właśnie, że nie czujemy w niej ani „wydzielania proletariusza", ani „kontrwydzielania" — od czego nie są wolne najlepsze powieści. Konwicki pokazuje ludzi, mających wady, nawyki, manie — oraz zalety — i nie cierpi na obsesję etykiety klasowej swoich bohaterów.

3. POZA OPAREM EUFORII

Moralną zaletę „Władzy" stanowi, że nie jest ona powieścią hurra-entuzjastyczną. Na stronicach jej opisane są zdarzenia przygnębiające, liczne śmierci gwałtowne, ogólna zaś atmosfera jest trudna: „Władza" pokazuje świat surowy, wymagający twardego charakteru i siły moralnej. Kto go nie posiada, pada ofiarą, jak młody Cieszkowski popełniający samobójstwo. Po zamknięciu książki zostaje nam wrażenie, że zetknęliśmy się ze społeczeństwem wstrząśniętym kataklizmem, dotkniętym troską i cierpieniem.

Ten poważny nastrój odróżnia „Władzę" od olbrzymiej większości naszej literatury o życiu współczesnym, gdzie panuje szalona radość. Słyszałem, że redaktor w pewnym wydawnictwie odradzał autorowi złą pogodę na 22 lipca, bo podczas święta narodowego słońce powinno pięknie świecić. Ta permanentna euforia, stałe fabrykowanie poczucia szczęścia stoi w sprzeczności z twórczością olbrzymiej większości filozofów i artystów, którzy na ogół uważają łatwy entuzjazm, za stan ducha niegodny myślącego człowieka. W bajce Hoffmana o „Złotym garnku" student Anzelmus zamknięty został przez złośliwą czarownicę do butelki. Tłukąc daremnie o jej szklane ściany, zobaczył nagle swoich kolegów z uniwersytetu, z minami dosyć zadowolonymi. Anzelmus zwrócił się do nich z wezwaniem, by pomogli mu rozbić butelkę, na co otrzymał odpowiedź:

— „Czyś ty oszalał? O jakiej butelce mówisz? Znajdujemy się przecież nad brzegiem strumyka, słońce pięknie świeci i doskonale się czujemy".

Student Anzelmus niewątpliwie reprezentuje tu poetę, którego zadaniem jest wołać wielkim głosem: „Panowie, nie cieszcie się za bardzo, ponieważ jesteśmy w butelce!" Wspomniany już redaktor z wydawnictwa, domagający się pięknej pogody w dniu defilady, powiedziałby tutaj pewnie, że Hoffman reprezentował mieszczański pesymizm, oraz oddzielność pisarza od swojego społeczeństwa. Być może; co jednak powiedziałby o setce klasycznych pisarzy, którzy przez całe życie ostrzegali, budzili wątpliwości i zmuszali do myślenia, jako to: Tacyt, Wolter, Balzak i inni? Czy mamy już wyłącznie jubilować, bo jesteśmy na dobrej drodze: socjalizmu prowadzącego do świetnej przyszłości? Niewątpliwie tania euforia jest najlepszym sposobem, by zejść z tej drogi. W książce Claude Roy „Podróż do Chin" przeczytałem następującą definicję komunisty, podaną w referacie Liu-Czao-Szi, wiceprzewodniczący rządu centralnego:

„Komunista martwi się na długo przed wszystkimi i cieszy się ostatni po wszystkich".

Definicję tę ilustruje sztych chiński, przedstawiający święto ludowe na wsi, gdzie wszyscy tańczą, prócz przedstawiciela partii rozmawiającego na boku ze starym rolnikiem, w postawie głęboko zatroskanej.

Optymizm, entuzjazm i euforia same w sobie nie są zresztą ani cnotą, ani wadą, wartości nadaje im dopiero słuszność sprawy, jakiej służą, podobnie jak jest np. z odwagą, która może znaleźć zastosowanie w skokach na bruk z wysokich pięter i w wielu innych bezsensownych akcjach. Natrętne wywoływanie sztucznych stanów szczęścia w naszej propagandzie i sztuce, płynie z przekonania, że uczucie to ma charakter mobilizujący.

Otóż istnieje entuzjazm głupi i mądry, wielki i mały, szczery i fałszywie nadęty. Owa „mała euforia" nie tylko nie mobilizuje, lecz przeciwnie, zniechęca i budzi powątpiewanie w sprawę jakiej miała służyć. Pokazuje ona postaci kierowane paroma tikami, niby automaty, życie zinfantylizowane, wielkie sprawy ludzkości sfiglarzyzowane, wszystko przypieczętowane standartowym uśmiechem. Z drugiej strony dzieła sztuki nieeuforyczne, bywają potężnym argumentem postępu. Nasi pisarze-moraliści, Zapolska, Żeromski, Kruczkowski w „Kordianie i chamie", „Pawich piórach", „Niemcach", demaskują różne formy entuzjazmu. Dzieło, które podziałało na mnie najbardziej „mobilizująco" w ostatnich latach, to był film meksykański „Los Olvidados", Luis Bunuela, który widziałem przypadkiem zagranicą. Oglądamy tutaj świat przygnębiający, okrutny i potworny. Widzimy bandę wyrostków, z których najstarszy nie ma lat 12, utrzymujących się z ograbiania żebraków. Gdy ociemniały inwalida wojenny nie chce opłacić się małym chuliganom, chłopcy masakrują go kamieniami, innego opornego żebraka, który utracił obydwie nogi i porusza się za pomocą wózeczka na kółkach, chłopcy wyrzucają z jego pojazdu do rynsztoka. Żyje wśród nich 10-letnia dziewczynka, która pozwala się macać za miedziany groszak. Film kończy się zamordowaniem małego Pedra przez szefa bandy, wyrostka — przestępcę, który obawia się, by Pedro go nie wydał. Chłopi, którzy udzielali Pedrowi schronienia, znalazłszy jego zwłoki, ze strachu przed policją wywożą je nocą na wózku z jarzynami i wyrzucają na wielki śmietnik podmiejski — mały trupek toczy się z góry odpadków, puszek po konserwach, zgniłych szmat. Jedyny, który usiłował wyrwać się ze strasznego życia, zepchnięty został — dosłownie — na dno ścieku miejskiego.

Film ten budzi protest, oburzenie, litość, wywołuje wewnętrzny sprzeciw. W ten sposób posępne dzieło sztuki może być argumentem humanistycznym, za postępem, za Rewolucją, potężniejszym niż setki promiennych, optymistycznych, śpiewnych, zewsząd zasypujących nas bluetek.

4. MORALNOŚĆ KOMUNISTÓW

Gdy jednak wysuwamy dezyderat anty-euforii w sztuce, i na dowód przytaczamy utwór taki jak „Los Olvidados", spotykamy się ze słusznym spostrzeżeniem: że pesymizm filmu o bezdomnych dzieciach uzasadniony jest brakiem nadziei w kraju kapitalistycznym i że artysta - socjalista nie byłby zdolny do wywołania w sobie podobnego stanu ducha. Tak jest rzeczywiście: ale gdy wracamy do „Władzy" i do innych utworów o podobnym klimacie, przekonujemy się, że ich powaga, ich atmosfera trudna, ich nastrój nieraz przygniatający, jest mobilem nadziei, i to znacznie bardziej przekonującej, niż w wielu powieściach promieniujących łatwym szczęściem.

Ten fakt z pozoru paradoksalny pochodzi stąd, że w powieści jak „Władza", mimo braku chichotu, jubilowania i optymistycznych toastów przy kieliszku, odsłania się siła moralna Rewolucji, stanowiąca fundament pogody, znacznie trwalszy, niż mógłby nim być śmiech nawet najbardziej serdeczny. Siłę tę poznajemy właśnie dzięki trudnej próbie, na jaką wystawia ją sytuacja w Janowie. Jesteśmy w okresie anarchii, powszechnej wojny wewnętrznej i — pozornie — braku szansy na wyjaśnienie położenia. W dodatku, nie widzimy dokoła nikogo, na kim mogłaby się zatrzymać nasza sympatia i zaufanie, we „Władzy" n i e m a b o h a t e r a p o z y t y w n e g o. Nikt też nie okazuje poziomu umysłowego wyższego niż przeciętny, nikt nie jest zdolny przewidzieć co się stanie w najbliższym czasie. Teren jest sterroryzowany przez bandę Derkacza, z którą współdziała ksiądz; obcy wywiad sięga do notablów miasteczka, związanych z Mikołajczykiem; partią kieruje odchyleniowiec Korejwa, człowiek miękki, kunktator i krętacz; jego przeciwnik Mikołaj, mimo że ożywiony zapałem, jest pod każdym względem niedojrzały, i wpada w warcholstwo, awanturnictwo, wreszcie w upartą dezercję; robotnicy znękani głodem i bałaganem buntują się, strajkują, są zagrożeni demoralizacją. Nie ma przemysłu, nie ma organizacji, nie ma planu: jest tylko owa, teoretyczna i symboliczna niemal „Władza" — w ręku komunistów, ziarno Rewolucji — oznaczona w tytule powieści.

Gdzież więc ukrywa się owa „siła Rewolucji" w potopie zamieszania, błędu i przygnębienia? Przypomina się nowela Bokacjusza o bogatym Żydzie, którego szlachcic usiłował nawrócić na katolicyzm. Po wielu miesiącach dyskusji, Żyd dał się przekonać, ale jako ostatni warunek postawił podróż do Rzymu. Jego przyjacielowi ręce opadły. „Wszystko stracone. Cały mój wysiłek na nic. Gdy zobaczy rozpustę dworu papieskiego, wyrzeknie się chrześcijaństwa na zawsze". Żyd wszakże pojechał, wrócił, i oświadczył, że gotów się jest przechrzcić:

„Wiara, która nie upada mimo takiego bałaganu, głupoty i złośliwości swoich przywódców, musi być prawdziwa".

Dostosowując ten żarcik sprzed siedmiuset laty, można by powiedzieć, że sytuacja w Janowie zostaje uratowana dzięki słuszności sprawy, potężniejszej od spiętrzonych trudności, które załamałyby każdy inny niepewny system społeczny. Siłę moralną Rewolucji poznajemy w jej sytuacjach najbardziej krytycznych. Pouczające są tutaj pisma dezerterów z obozu Rewolucji, np. Ryszarda Wrighta, powieściopisarza murzyńskiego, który opuścił partię pod wpływem ataku lęku przed policją amerykańską. We wspomnieniach swoich, stanowiących neurasteniczny rachunek sumienia, Wright powraca bez przerwy do zagadnienia fascynacji, jakie wywiera na niego komunizm. Opisuje niezwykle charakterystyczne zebranie komórki partyjnej w Nowym Jorku. Na zebraniu tym miano udzielić nagany — i może wykluczyć z partii — pewnego dziennikarza, który zachował się niesolidarnie podczas manifestacji 1-majowej. Dziennikarz ów, anarchista i warchoł, zaprosił Wrighta na zebranie, zapowiedział mu przy tym, że da swoim oskarżycielom odprawę i sam ostentacyjnie opuści partię. Zebrania partii amerykańskiej odbywają się w ciężkiej atmosferze terroru i ubóstwa. W niewielkiej salce tak zatłoczonej, że nie ma gdzie usiąść, stoi setka ludzi. Jest duszno i ciemno od dymu tytoniowego. W każdej chwili może wejść policja i pod byle pretekstem zmasakrować zebranych. Przewodniczący zabiera głos. Mówi długo, nudno, niezręcznie: jest to samouk-robotnik dokowy. W jego dwugodzinnym przemówieniu nie ma aluzji do niesubordynowanego towarzysza: przedstawia on sytuację światową, walkę we wszystkich krajach, wyjaśnia hasła pokojowe. Mówi to, co wszędzie mówią komuniści, w dodatku w sposób mało atrakcyjny. Po nim przemawia referent, również długo i w sposób mało efektowny — na temat solidarności, jedności, dyscypliny w walce. Wreszcie przychodzi kolej na samokrytykę dziennikarza-anarchisty. Ów inteligent, dowcipny, wykształcony, który przygotował sobie setki kpin i miał wyjść trzasnąwszy drzwiami, za którymi czeka go aprobata, sensacyjne tytuły w dziennikach, opieka wszechpotężnej policji, — teraz patrzy w twarze kilkudziesięciu nieuczonych nędzarzy, i bełkocze, jeszcze gorzej niż jego przedmówcy — autodydakci:

Towarzysze... popełniłem wielki błąd... proszę, wybaczcie mi, towarzysze...

Człowieka tego nie złamał żaden nacisk fizyczny, ani inna konieczność materialna — zmiażdżony on został przez siłę moralną Rewolucji. Gdy znajdował się w swoim gabinecie, mógł snuć do woli neurasteniczne pomysły: jego nadwrażliwa indywidualność przesłoniła mu sprawy całego świata. Gdy stanął wszakże przed swoimi dawnymi towarzyszami, zobaczył miliony wynędzniałych proletariuszy, głód i rozpacz ludów azjatyckich, morze rozlanej krwi, w straszliwej walce trwającej dziesiątki lat. Ciężar tej świadomości był dla niego nie do zniesienia.

Przygniata on nawet renegata — Wrighta, i w jego książce czujemy, m i m o w s z y s t k o, trawiący go wstyd i smutek, z którego, jak sam powiada, „nigdy już nie zdoła się otrząsnąć".

Z książki takiej jak „Władza" widzimy, że siła Rewolucji nie zasadza się bynajmniej na armii, policji, organizacji itd. Właściwa jej potęga polega na wewnętrznym przekonaniu milionów mas ludzkich, na zbiorowym poczuciu wspólnej sprawy, którego nie jest w stanie zachwiać ani groźny przeciwnik, ani anarchia wojny wewnętrznej, ani potworny bałagan okresu przejściowego, ani nawet monumentalne niedołęstwo własnej biurokratycznej propagandy. Cóż to jednak jest „siła moralna Rewolucji"? Jakim sposobem we „Władzy", gdzie wszyscy błądzą, skażeni są wadami, nie widzą intelektualnej perspektywy — jakim sposobem ma owa Rewolucja zwyciężyć? Ci, którzy na ostatnich kartach książki rozgromili Korejwę, nie są przecież owymi pocieszającymi „delegatami z KC", nieomylnymi „bogami z maszyny samochodowej", jakich spotykamy w licznych powieściach optymistycznych. Mikołaj jest narwany, inni przeciwnicy Korejwy są małymi karierowiczami i pomagają go utrącić, mimo, że jeszcze przed tygodniem go popierali...

Ludzie we „Władzy" nie są doskonali — ale mimo to, przed Janowem otwiera się wielka droga przyszłości. Widzimy bowiem, jak ustrój rewolucyjny popycha ludzi naprzód często wbrew nim samym. Doskonalą się oni bezwiednie: jeśli mimo wszystko Janów idzie ku lepszemu, to dlatego, że Rewolucja sumuje to, co w każdym z niedoskonałych bohaterów „Władzy" — jest dobrego. O faszyzmie mówiono, że był kumulacją tego, co w ludziach było najgorsze: sadysta, bandyta, szaleniec potęgował się tu wielokrotnie. We „Władzy" widzimy, jak z Mikołaja w służbie Rewolucji zostaje to co w nim najmocniejsze: jego pasja i wierność — odpada zaś jego warcholstwo, szczeniacka zawziętość, bezradność myślowa wobec złożonych spraw polityki. To jest „siła moralna Rewolucji": suma tego, co dobre w ludziach, zdyskontowana jako motor przemiany społecznej.

Dzięki temu obrazowi moralności Rewolucji — obrazowi surowemu, często bezwzględnemu, optymistycznemu nie w łatwo-sztampowy sposób, „Władza" jest dziełem, w którym mimo nieporadności, uproszczeń i niejednego braku literackiego — tkwi przecież prawda o nadchodzących czasach, różnych od wszystkiego co dotychczas znała historia: jest to jedna z książek, w których czujemy oddech naszego, i n n e g o wieku.

Zygmunt Kałużyński

WŁODZIMIERZ ŁUGOWSKOJ

DZIEWCZYNA

Od zachodu
do obłoków świtu
Wszystkie górskie kraje przemierzyłem.
Grudko światła,
lekki mój świetliku —
Gdzieżeś skryła się,
dziewczyno miła?
Jesteś gdzieś
od swej rodziny zdala,
Ojca, matkę swoją
porzuciłaś.
Księżyc rósł na niebie
znowu malał,
Górskie zbocza
liście pożółciły.
Niczem szakal
trucizną trawiony,
Pośród górskich wiosek
kołowałem.
Zasnął robak
w jedwab otulony,
W kroplach deszczu
trawy zapachniały.
Tylko serce
zmieniło się w kamień,
Lekki kamień,
co świszcze po skałach.
I zawiała
zima śnieżycami
Ogień,
który w piersi mojej
pałał.
Ale przyszła wiosna,
budząc pola,
I powiedział
przejezdny agronom
Że cię widział
w stalinbadzkiej szkole,
W oknie
blaskiem słońca roświetlonym.
Uczysz się
w Republice Tadżyków,
Potrafiłaś
jasną drogę znaleźć.
Grudko światła,
Lekki mój świetliku —
Świeć Tadżykom
w trudnej drodze
dalej.

Przełożył **Józef Waczków**

KAZIMIERZ

Hotel

Wspomnienia

Pokój w hotelu na szczęście dostałem. Nawet dość schludny, z czystą, trochę tylko poszczerbioną miednicą, wytartym dywanikiem koło łóżka i tapetą w biało-żółte pasy. Hotel — oczywiście „Rzymski" — znajdował się niedaleko stacji kolejowej, której budynek, niedawno chyba odnowiony, prześwitywał poprzez żywopłot. Z okna widać było brukowany placyk ze studnią i postojem dorożek, bardzo starych, o spiczastych siedzeniach fioletowych od słońca. Woźnice drzemali w czapkach wciśniętych na oczy, konie ze zwieszonymi łbami w hołoblach leniwie omiatały chude boki od much. Było wczesne popołudnie, pociąg warszawski stał tylko trzy minuty i prócz mnie wysiadło z niego sześć czy siedem osób. O tej porze w miastach na wschód od Wisły zalega poobiednia cisza, parna i senna. Uległem jej natychmiast, a kiedy przebudziłem się, było już późno: mój wieczór miał się odbyć o godzinie siódmej.

Przyjechałem tu na zaproszenie miejscowego Domu Kultury, który już od wiosny proponował mi różne terminy spotkań z czytelnikami. Kierownik o nieczytelnym podpisie postawił mnie w ostatnim liście przed faktem dokonanym: „Afisze rozlepione, mam nadzieję, że Sz. ob. nie sprawi nam zawodu w ramach realizowanego przez nas planu".

Plan to potężne słowo. Wprost z rejwachu warszawskich spraw wsiadłem w pociąg na Dworcu Wschodnim. Do teczki, prócz mydła, ręcznika i szczotki, wepchnąłem fragment powieści. Był początek lipca, zboża jeszcze niezżęte, w przedziale ktoś narzekał, że po ostatnich ulewach żyto się pokładło.

Miasto było niskie i białe, szeroko rozrzucone u stóp Biskupiej Góry, gdzie z zamku, w którym miał ongi bywać Jan Kochanowski, pozostały ruiny i stara fosa, obrosła burzanami. Podczas ofensywy radzieckiej w lecie 1944 zatrzymał się tu podobno sztab marszałka Żukowa. Słyszałem również, że w studni przed stacją na wiosnę 43 partyzanci utopili trzech słynnych z bestialstwa oficerów SS. Nie wiem, ile było prawdy w tych wszystkich pogłoskach, których wysłuchałem od dorożkarza, jadąc z hotelu na główny rynek, dokąd prowadziła cienista ulica o grzbiecie z kocich łbów, wysadzona topolami. Dom Kultury zastałem pusty, kierownik mieszkał gdzie indziej. Ale dwa afisze rozlepione u wejścia świadczyły, że nie przyjechałem na próżno: mój wieczór miał się odbyć nazajutrz o 16.

Nagle więc przyrósł mi do życia nadliczbowy dzień. 24 godziny w małym prowincjonalnym mieście, doba upału i nudy, hotelowy pokój z tapetą w paski — nie zabrałem nawet książki do czytania!

— On mieszka zaraz, w bok, za Partią na prawo — wskazał batem dorożkarz. — Można podjechać, pewnie podlewa w ogródku.

Cały był jakby wyschnięty od słońca, skórę na twarzy i rękach miał szarobrunatną, przepaloną, białe oczy spod daszka patrzyły trochę mętnie.

— Sam podejdę — powiedziałem.

Kierownika nie było. Przed domem w ogródku suszyła się bielizna i brzęczały osy, ale furtki nikt nie otworzył. — Wyszli — mruknęła jakaś kobieta, stawiając na chodniku wiadro z wodą.

Dorożkarz czekał na rynku, widać zaciekawiony.

— Znaczy się, poszedł do Partii — odezwał się z kozła. — Można podjechać — wskazał narożny dom z czerwonym transparentem nad wejściem — pewnie ma kunferencję...

Wolałem to odłożyć do następnego dnia, a tymczasem odczepić się od dorożkarza. Postanowił jednak czuwać nade mną z daleka, bo gdy ruszyłem pieszo z powrotem w stronę stacji, rozległo się za mną powolne człapanie kopyt. Tę wojnę nerwów wygrał łatwo: po trzech minutach sam wsiadłem, bez słowa, a on połechtał tylko batem konika po zmydlonych lędźwiach i wyczyścił nos, ująwszy go zgrabnie w dwa palce.

— Taki on człowiek — rzekł po chwili zwracając się do mnie bokiem — tylko kunferencje i ogródek... Wykształcony, a żonę to do roboty zapędził, wiśtaa!

— Dawno powozicie tą dryndą? — spytałem po chwili.

Nic nie odpowiedział, ale kiedy minęliśmy kościół, mocno zaciął konia po słabiźnie. Potem rzucił mi przez ramię:

— Będzie... od tamtej wojny. Jeszcze za Mikołaja.

— I dalej się opłaca? — zaryzykowałem od niechcenia.

— Wije! — wrzasnął dorożkarz. I bez żadnej widocznej przyczyny zaczął wściekle poganiać konika, tak że przed hotel „Rzymski" zajechaliśmy w tumanach kurzu i znienacka.

2

W hotelu powitała mnie niespodzianka. Na kozetce w moim pokoju spał łysy mężczyzna w gimnastycznej koszulce. Leżał twarzą do ściany i cicho stęknął, gdy zapaliłem światło. Obok umywalni stała fibrowa walizka, na poręczy krzesła wisiał zielonkawy garnitur z porządnie ułożoną niebieską koszulą w paski. Czarne półbuty z wetkniętymi skarpetkami oraz żółta niezapięta teczka spoczywały pod krzesłem. W pokoju unosił się zapach brylantyny, co mnie do reszty zdumiało, gdyż gość był zupełnie łysy; widziałem jego ciemię, które przez sen osłaniał ręką o krótkich mocnych palcach porośniętych włoskami.

Otworzyłem okno, by wpuścić trochę powietrza i ochłonąć z niespodziewanych wrażeń. Nad placykiem wisiała bura czapa upału. Zciemniło się już na dobre. Od stacji doleciał stłumiony syk parowozu, lampa nad wejściem z napisem BUFET rzucała szarawe, pełgające światło. Postój dorożek był już pusty, lecz wiatr przywiewał stamtąd ostrą woń końskiej sierści i zeschniętego owsa. Ktoś szedł przez placyk szurgocząc butami, po czym rozległ się skrzypiący odgłos studni, głuche dudnienie i cichy plusk wody. W tej chwili wydało mi się, że łysy zagulgotał przez sen, więc zamknąłem okno z obawy, że go zbudzę. Klnąc w duchu rozebrałem się i zgasiłem światło.

Ale nie mogłem zasnąć. Było duszno i wciąż miałem wrażenie, że śpiący mamrocze do siebie. W pewnej chwili usłyszałem wyraźnie: „O Boże"... Wstrzymałem oddech, gdyż w sennym bredzeniu jest zawsze coś niepokojącego: duchy, które dręczą sąsiada, mogą się lada moment zająć twoim wezgłowiem, lepiej więc leżeć cicho.

Po minucie zorientowałem się, że głos dochodzi skądinąd. Za ścianą, przy której stało moje łóżko, słychać było jakieś poruszenia i szepty, ktoś stąpał w sąsiednim pokoju. Musiało tam być więcej niż jedna osoba, bo nagle usłyszałem zupełnie z bliska westchnienie i kobiecy głos.

— Po cośmy tutaj przyjechali... Zamęczysz siebie i mnie.

Przez chwilę panowała cisza i byłem już gotów sądzić, że mi się to przyśniło, gdy raptem poczułem jakby ktoś tuż koło mnie przystanął i rzekł:

— Jesteś dziecinna, Iniu.

Postanowiłem głośno zakaszlać, by dać jakiś znak, że słyszę ich rozmowę, ale ubiegł mnie ten sam głos, który dorzucił ciszej:

— Ile razy ci tłumaczyłem, że to jedyny ratunek...

Głos należał do mężczyzny, brzmiał trochę sucho i nosowo. Słowa wymawiał jakoś nudno, a zarazem pedantycznie; widać od lat pouczał tę kobietę. Musiał to być drobny człowieczek o wyglądzie belfra czy pastora, apodyktyczny i nerwowy. Tak go sobie przynajmniej wyobrażałem, a właściwie tak się przedstawiał jego głos. Słyszałem jak przechadza się po pokoju (na pewno z rękami założonymi w tył), ostatnie zdanie rzucił uroczystym szeptem, a teraz zakasłał przy otwartym oknie. Łowiłem uchem każdy szelest, mój współlokator na szczęście lekko tylko rzęził.

— Przecież ci tłumaczyłem — odezwał się po chwili mężczyzna za ścianą — że dopóki choć jedna pozostanie... Oczywiście, ty tego nie rozumiesz, idziesz po linii najmniejszego oporu. Zawsze to samo, Iniu. Pamiętasz, jakeśmy przyjechali do Puław? Także musiałem ci wszystko od początku tłumaczyć, bałaś się, płakałaś. A w Puławach doskonale się udało, doskonale! Już zdaj się na mnie, Iniu. Czy ja cię kiedy zawiodłem?

Po tych słowach usłyszałem płacz. Przysiągłbym, że obok mnie, za ścianą, płacze na łóżku kobieta, bezradna, niepojętna. A w chwilę później znowu było cicho. Na stację wtoczył się pociąg, ktoś biegł dzwoniąc podkutymi obcasami, z peronu doleciały wołania: — Pa-apierosy! Le-emoniada, piwo-o! — i głos zawiadowcy wykrzykujący nazwę miejscowości. Wszystko to utonęło w ciężkim sapnięciu wypuszczanej pary.

— Przestań, Iniu — napominał z solennym wyrzutem człowieczek w sąsiednim pokoju. — Na miłość boską przestań, kochanie. Odbierasz mi siły. Pomyśl, że jutro o tej porze już będzie po wszystkim... No, czemu nic nie mówisz? Ty śpisz, Iniu?

— Nie... — szepnęła kobieta — ja tylko myślę czy to się dobrze skończy...

— Daj spokój! — przerwał męski głos. Proszę cię, dziecinko, przestań, nie myśl. Pójdę tam z samego rana, ot po prostu... Pamiętasz, jak było w Kraśniku? Także się bałaś. A proszę: nawet nie żądali legitymacji. Śpij, wypalę jeszcze papierosa.

Parę minut upłynęło w milczeniu, wciąż chodził po pokoju od okna do drzwi, a potem znów przystanął i rzekł trochę mniej wyraźnie:

— Tobie się zdaje, że mnie jest lekko? Och, Iniu... Spójrz: nie sypiam, schudłem. I te migreny... Ciężko pomyśleć, do czegośmy doszli. A już tak się wysunąłem. Mówili o mnie, gratulowali... Ale jeżeli tego nie załatwię, to co zostanie z naszego życia? Każdy będzie je miał w ręku... nasze życie. Jak wróbla... Słyszysz? Iniu, słyszysz?.. Jak wróbla. Przecież mówię do ciebie, nie śpij.

— Nie śpię — odpowiedziała sennie kobieta — ja nie śpię, Adasiu.

Nic z tego nie rozumiałem. Jedno tylko było niewątpliwe, że za ścianą, w odległości ramienia, dzieje się między dwojgiem ludzi jakaś smutna i żałosna rzecz. Mówili zmęczonymi głosami, których nie potrafili już modulować, jak ludzie u kresu sił, jak urzędnicy nienawidzący swej pracy, albo małżeństwa po trzydziestu latach wzajemnego obrzydzenia, lub jak więźniowie po nieudałej ucieczce.

Leżąc na wznak, z otwartymi oczami, zachodziłem w głowę nad przyczyną ich udręki. Po co tu przyjechali? I skąd? Co im groziło i od kogo? Byłem przekonany, że żadne z nich nie śpi. Słyszałem jak na kościelnym zegarze bije jedenasta, później wydzwonił północ, było mi czegoś żal i zacząłem sobie przypominać, czy i mnie coś nie grozi. Świat naraz uczynił się grząski i mroczny, pełen zagadkowych odgłosów. Za oknem słychać było jakieś ciężkie, głuche poruszenia, jakby noc przetaczała się z bolesnym jękiem po bruku.

Trapiła mnie myśl, że człowiek nigdy nie wie, gdzie i kiedy rodzi się jego nieszczęście. Tych dwoje ludzi za ścianą pewnie żyło niegdyś spokojnie, dni upływały im wśród nudnych trosk i nie wielkich radości; aż oto — może przypadkiem czy przez nieuwagę — życie ich zaplątało się w jakiś ciemny węzeł. I teraz oboje szarpią sobie ręce, łają się wzajemnie za niezdarne ruchy, jeżdżą z miasta do miasta, taszcząc ten swój przeklęty supeł, to swoje zapiekłe, potargane nieszczęście w walizce.

3

Nie pamiętam, jak długo czuwałem, ptaki już się budziły, gdy zasnąłem, i śnili mi się oni oboje — drobny, suchy człowieczek z zapłakaną kobietą — dźwigający fibrową walizkę po zakurzonej drodze o grzbiecie z kocich łbów. A kiedy otworzyłem oczy, był już dzień i łysy mężczyzna w zielonkawych spodniach stał przy oknie i nucił zapinając szelki. Nad ranem padał chyba deszcz, bo do pokoju wdzierał się zapach parującej ziemi.

Patrzyłem spod powiek, jak nieznajomy sznuruje buty. Był ogolony, pachnący i zerkał na mnie z wesołą ciekawością. Potem wciągnął marynarkę i szeleścił jakimiś papierami, nucąc i posapując. Obserwowałem ukradkiem, jak zamyka teczkę. Wszystko czynił zręcznie i apetycznie, świeżutką czaszkę płonił mu rumieniec, gdy się pochylał nad zamkiem walizki. Wreszcie spojrzał na zegarek, mruknął coś do siebie i wyszedł skrzypiąc po malowanej podłodze.

— Adasiu — usłyszałem raptem — popatrz jak ładnie!

Przez noc uleciała mi z pamięci podsłuchana rozmowa, toteż drgnąłem teraz na dźwięk znajomego głosu.

— Może tu zostaniemy parę dni? — mówiła, jeszcze nieco zachrypnięta po śnie — tak bym chciała odpocząć... Spójrz, jaki śmieszny cielak! To chyba byczek, prawda, Adasiu?

— Cicho, Iniu — odezwał się mężczyzna z głębi pokoju, pewnie z łóżka — dopiero szósta, ludzie jeszcze śpią.

— Widać stąd rzekę — szepnęła po chwili — cała błyszczy jak ze srebra... Wiesz, może pójdziemy się wykąpać?

Jej głos brzmiał teraz czysto i miękko. Domyślałem się, że stoi przy oknie w narzuconym szlafroku, włosy miała rozpuszczone, była chyba jeszcze młoda — może znacznie młodsza niż mąż — ale jej twarzy nie wyobrażałem sobie, jako bardzo ładnej. W tym, co mówiła, brzmiało wzruszenie i zarazem jakiś nieśmiały rozmysł czy nadzieja. Ostrożnie, powoli, ażeby nie uronić słowa, sięgnąłem ręką po papierosy i zapałki.

W tym momencie rozległo się ciche pukanie do moich drzwi. Ktoś delikatnie nacisnął klamkę i wszedł na palcach. Z początku go nie poznałem. W miękkiej sportowej czapce wyglądał zupełnie inaczej: przestał być łysy, jego szare oczy spoglądały bystro i rozsądnie.

— Pierwszy papierosik? — uśmiechnął się, dotykając daszka. — Darujcie, zapomniałem okularów. Oczywiście, są. W porządku, drobiazg.

Na szczęście mówił półgłosem. Spojrzał na zegarek; okazało się, że wstał za wcześnie, pociąg odchodzi dopiero za pół godziny. Zapytał mnie, czy chrapał w nocy. Szczerze zaprzeczyłem. Wówczas skinął z zadowoleniem głową: — Czasami jednak chrapię, wiecie? — Przysiadł na swojej kozetce i powiedział, że było mu trochę nieprzyjemnie bez uprzedzenia wprowadzać się do mojego pokoju. — No, ale jak nie chrapałem!.. — roześmiał się. — W porządku, nie ma o czym mówić. — Wyjął paczkę „Sportów", zapałki, fajeczkę, w chwilę później mocno zaciągnął się dymem i wszystko to robił szybko, wprawnie, oszczędnymi ruchami.

— Miasto biedne — powiedział patrząc w okno. — Teren niskiej kultury rolniczej. Ale teraz budujemy tu trochę, tak. W przyszłym roku ruszy pierwszy wagon klinkru. Jakoś się jedzie. Wy pewnie przejazdem tylko?

Spojrzał na mnie zarazem badawczo i żartobliwie. Kiedy udzieliłem niezbyt klarownych wyjaśnień, skinął dłonią z dyskretną aprobatą: — W porządku. Pytam, bo twarz znajoma. Może ze sceny. Nie? Drobiazg, nieważne.

Ostatnie słowa mówił przeglądając jakieś papiery, które wyjął z kieszeni na piersi. Dłonie miał duże, a w rogowych okularach znowu wydał mi się kimś innym. Przypatrywałem się z ciekawością jego twardo sklepionej głowie i solidnym szczękom. Złożył papiery i schował je do portfelu.

— Jeszcze raz najserdeczniej — uśmiechnął się wyciągając rękę. — A na czczo radzę nie palić.

Kiedy wyszedł, przyszło mi do głowy, że przespałem noc z człowiekiem, z którym można ją było przegadać. Zamiast tego podsłuchiwałem przez ścianę niesnasek małżeńskich dwojga dziwaków. Teraz panowała tam cisza: albo usłyszeli nasze głosy, albo wyszli. Mówiła przecież, żeby pójść nad rzekę. „Błyszczy jak ze srebra..." tak zdaje się powiedziała. Ich wieczorną rozmowę ubarwiłem zapewne własnymi domysłami, a po części kto wie, czy nie drzemką.

Chciałem już wstać z łóżka, ale wydało mi się, że znowu słyszę jej głos. Tym razem mówiła prędko, niewyraźnym szeptem. Więc jednak nie wyszli. Wzruszyłem ramionami, bo co mnie to w końcu obchodziło. Podszedłem do okna i oczy poraził mi biały w słonecznym blasku wapienny stok Biskupiej Góry, z zamkiem czerniejącym z daleka, niewiększym od domku bobrów. Dzień był niezwykle przejrzysty, widziałem w pełnym świetle każdy krzak na zboczu i głazy u stóp ruin, świecące jak złomy kredy. Ogarnąłem wzrokiem to wszystko, wraz z budynkiem stacji i brukowanym placykiem, na którym stała tylko jedna dorożka, i ulicą ocienioną topolami, wiodącą ku miastu. U podnóża Góry Biskupiej wśród zagajników przebłyskiwała rzeka. Doprawdy jak ze srebra... Tak, hotel „Rzymski" w tym krajobrazie nie wybijał się pięknością, mimo iż wraz ze studnią i kamiennym podjazdem wyrósł z tej samej ziemi.

Ale obok w pokoju coś się jednakże działo. Dochodziły stamtąd pokłębione odgłosy, jakby pełne wysiłku czy gwałtem powstrzymywane. Trudno było nie słuchać. Mogła to być stłumiona sprzeczka albo uściski miłosne, szeptali cicho, prosząc się o coś czy zaklinając, zdawało mi się, że słyszę jej śpieszny oddech, a potem na pewno westchnęła: — Kochany, jak to dobrze... — W ślad za tym rozległy się szelesty, plusk nalewanej wody i jego głos: — Gdzie jest mój ręcznik, Iniu? — Wyglądało na to, że się pogodzili, albo że minęła chwila małżeńskiej miłości, może pójdą wreszcie nad tę rzekę.

Zacząłem się ubierać. Koło studni stała wciąż samotna dorożka z konikiem w hołoblach. Woźnica siedział bokiem na tylnym siedzeniu i patrzył w moje okno. Ten sam, co mnie tu przywiózł z rynku; nieborak, postojów miał więcej niż jazdy — miasto doprawdy nie musiało być zamożne. Ogoliłem się i uporządkowałem łóżko. Dochodziła już dziesiąta.

— Nie, nie! błagam cię! — krzyknęła kobieta za ścianą.

Miałem wrażenie, że się szamocą ze sobą. Mówił: — Oszalałaś, Iniu, coś takiego... do czego to podobne? — Zdawało mi się, że odpycha jej ręce z urażoną godnością, zarazem wstydząc się czy lękając, że ktoś usłyszy.

Potem znów rozmawiali ciszej i dopiero po dobrej chwili dosłyszałem parę wyraźniejszych zdań. Zapewniał ją, że „idzie tylko sprawdzić", a ona tłumaczyła gniewnie: — Ależ to nie ma sensu. Po co? Po co?

— Sprawdzić, czy ona tu jest — mówił pokornie, ale z uporem. — Inaczej nie będę miał spokoju. Pamiętasz, co powiedział Sufczyński? Że moje pamiątki są jeszcze w pięciu punktach. A on wie, bo siedzi w Wojewódzkim Zarządzie. Ma wgląd. Sam mi zresztą powiedział: „Wiecie, to może wam zaszkodzić, taki szczegół". W pięciu miastach, Iniu. Z tym, że Puławy i Kraśnik już odpadły. Gdyby nie te parę zdań i to nazwisko...

— Ach — przerwała — inni robili gorsze rzeczy.

Mały mężczyzna roześmiał się gorzko:

— Tak. Ale każdy się jakoś urządził. Choćby właśnie Sufszyński. O to trzeba wczas zadbać samemu. I jeszcze teraz, kiedy idę w górę... Jak się nie zakrzątnąć w odpowiednim czasie, to potem ziemia ci się pali. Pst!.. Co to? Ktoś zapukał, Iniu?

4

To do mnie zapukano. Chętnie bym nie otworzył, ale przecież drzwi były otwarte, klucz bodaj tkwił zewnątrz.

— Proszę — mruknąłem półgłosem.

Od razu się domyśliłem, że jest to kierownik Domu Kultury, ponieważ znacząco się uśmiechnął i mocno parę razy potrząsnął mi rękę ze słowami: — Cześć, towarzyszu redaktorze! — Był to nie wysoki blondynek o nieco wyszczerzonych zębach i radosnym spojrzeniu. Zdziwił go nieco mój szept, którym chciałem go skłonić do ściszenia głosu i zapewne to, iż nie poprosiłem go, by usiadł.

— Będę punktualnie — mówiłem cicho i prędko — wczoraj widziałem afisze.

Rozejrzał się po pokoju, trochę podejrzliwie, i natrafił wzrokiem na rozesłaną pościel na kozetce. Czułem, jak się czerwienię, a on uczynił delikatny krok w tył i szepnął ciszej ode mnie: — Nie będę przeszkadzał, towarzyszu redaktorze... — W oczach miał teraz niezwykle pojętny błysk. Dorzucił z uśmiechem: — Łopacki was zawiezie.

— Co za Łopacki? — bąknąłem ze zdziwieniem.

Kierownik wyszczerzył uprzejmie zęby i wyjaśnił, że jest to tutajszy dorożkarz, którego podobno wynająłem na całą dobę. — Ten stary, towarzyszu, redaktorze — szeptał — co was wczoraj woził.

— Aha — zrozumiałem — ten stary gaduła?..

— Właśnie! — ucieszył się kierownik. — Łopacki już wie. Czekamy o czwartej. Czołem, towarzyszu redaktorze, nie będę przeszkadzał...

Wycofał się tyłem i zdążył jeszcze zapuścić żórawia w głąb pokoju, gdzie stała kozetka z pomiętą pościelą.

Przez ten czas uciszyło się za ścianą. Wiedziałem, że odtąd będą się mieli na baczności i nie wiele co się już dowiem. Lecz ostatnia ich wymiana zdań pozwoliła mi odgadnąć, że byłem świadkiem dialogów o tematyce współczesnej. Strach małego człowieczka w sąsiednim pokoju płynął zapewne z jakichś niezałatwionych konfliktów z teraźniejszością, a ona, po kobiecemu praktyczna, nie miała dość wyobraźni, aby ów strach z nim dzielić. Tyle przynajmniej zrozumiałem. Szczegóły jednak były niejasne: czego się bał? co oznaczały „pamiątki", o których wspominał? w jakim zarządzie pracował Sufczyński? o jakie „nazwisko" chodziło? I w ogóle co on tutaj, w mieście, chciał sprawdzić? Przyłapałem się na tym, że ani mi w głowie wyjść na miasto, przeciwnie — najchętniej usiadłbym przy stole, żeby z ołówkiem w ręku rozwiązać ten hotelowy rebus.

Znowu zaczęli rozmawiać. On ją z początku uciszał, ale odparła ze zniecierpliwieniem: — Przecież już wyszli, było słychać. — Potem wyglądało na to, że oboje pogrążyli się w myślach, nic nie słyszałem, raz on tylko zakaszlał, musiał dużo palić. Po chwili znów jej głos, łagodniejszy, miększy:

— Czy doprawdy nie możesz im tego powiedzieć? To byłoby najprostsze, Adasiu. Ja dłużej tego nie wytrzymam, zwariuję. Wrócimy, poprosisz Kołacza o dłuższą rozmowę, wyznasz mu wszystko...

— Kołacza?. — wymamrotał jakby z przestrachem.

— Sam kiedyś mówiłeś, że to porządny człowiek.

— A tak, porządny: własnemu bratu by nie przepuścił, gdyby... Ech, Iniu. Ty nic nie rozumiesz. To byłby koniec ze mną...

Dalej coś mówił zniechęconym, rozbrzękłym szeptem, ale tego już nie dosłyszałem. Późniejszy przebieg rzeczy nie był dla mnie całkiem jasny, gdyż zawarł się w paru zdaniach zamienionych półgłosem i skrzypnięciu drzwi. Zdaje się, że powiedziała: — Zaraz, na chwilkę... — czy też coś w tym rodzaju, po czym doszły mnie jej drobne kroki zmierzające w głąb korytarza. Jednocześnie za ścianą jakby się coś szybko poruszyło i znowu skrzypnęły drzwi. Ktoś przeszedł w pośpiechu korytarzem w przeciwną stronę, ku schodom, to był chyba on. Wszystko to nastąpiło znienacka i prawie równocześnie, tak że zrazu straciłem orientację, co się właściwie dzieje. Kiedy podszedłem do okna, by sprawdzić, czy ktoś nie wyjdzie z hotelu na ulicę, osadziło mnie w miejscu trzecie skrzypnięcie sąsiednich drzwi i jej przestraszony głos: — Adasiu?.. Adasiu, gdzie jesteś?!..

Wybiegła z powrotem na korytarz, słyszałem, jak rzuciła się w kierunku schodów, ale było już chyba po niewczasie; zresztą, nie wiem, co miała na sobie, może tylko szlafrok, w każdym razie wróciła. Co zaszło, dziecko by odgadło: zwiał. Skorzystał z jej chwilowej nieobecności i wymknął się ukradkiem. Ale dokąd? Po co? Teraz płakała po cichu. Stałem przy drzwiach trochę głupio. Gdyby mi ktoś powiedział, jak w takich razach należy postąpić? I czy w ogóle należy jakoś postąpić? Przykro mi było, że nie umiem pomóc kobiecie, która płacze; może powinienem zastukać, wejść, zapytać... W dawnych epokach podróżni bodajże tak postępowali. Musiałbym jednak zdradzić swoją obecność, i to, że wszystko słyszałem; pomijając fakt, iż w dawnych epokach podróżni szukali przygód, my zaś szukamy doświadczeń. Po chwili zresztą uspokoiła się, przestała płakać. Nic już nie słyszałem, nawet szelestu. Może zasnęła.

Przez okno wchodził skwarny dzień, turkotały wozy, od czasu do czasu z warkotem i chrzęstem przejeżdżała ciężarówka. Topole zanosiły się niespokojnym szumem i cichły, wtedy słychać było rytmiczne, dzwoniące uderzenia i ochrypły bas: — Stooooj... — gdzieś podkuwano konia. Postanowiłem wyjść na miasto, przyjrzeć się ludziom. Wstyd mi było, że tak się dałem wciągnąć w ten żałosny bezsens za ścianą. Wyszedłem czym prędzej, w obawie, by znowu nie zaczęli się tłuc po pokoju, jak dwie niezdarne ćmy.

5

Gdy ukazałem się przed hotelem, od studni, wzniecając żółte kłęby kurzu i jazgot, popędziły ku mnie dwie dorożki. Mój Łopacki stał w koźle, wrzeszcząc na swego konika, drugi woźnica, cały niemal ukryty w słomianym kapeluszu, zajeżdżał mu drogę siwą, kościstą klaczą o różowych nozdrzach. Wybuchł zgiełk, przekleństwa, konie zryły bruk przed podjazdem, obydwaj woźnice grozili sobie pięściami, potem obydwaj zleźli z kozłów. Niepostrzeżenie zebrała się gromadka ludzi i sporo dzieci z patykami. Podczas gdy konie oddawały mocz, dorożkarze zaczęli sobie na przemian wymyślać, z rozwagą dobierając słów i od czasu do czasu zwracając się do mnie. Gdy wyzywał Łopacki, wówczas tamten w słomianym kapeluszu poprawiał uprząż swojej klaczy, chodząc dokoła niej na krzywych nogach. Potem odwrotnie: on urągał grzmocąc się kułakiem po piersi, a mój Łopacki, jakby ogłuchł, spokojnie upychał worki z owsem pod tylne siedzenie. Ludzie słuchali z trochę sennym zainteresowaniem, dzieci właziły na resory i przebierały patykami po szprychach, parę osób odeszło. Wreszcie, nie wiem, jakim sposobem, znalazłem się w dorożce Łopackiego, a tamten powoli odprowadzał za uzdę swoją siwą klacz o zdziwionym, różowym pysku.

— Można jechać — powiedział Łopacki. Dokoła było już pusto, po chwili konik zaklaskał kopytami po kocich łbach. Łopacki cmoknął spokojnie i zwrócił się ku mnie bokiem:

— A kierownika to już wczoraj na wieczór zawiadomiłem, że pan przyjechał. Dziękował! I po mieście kazał wozić, heej-ta!..

— Kazał? — wtrąciłem z lekką ironią..

— Taki on człowiek... — tłumaczył Łopacki wyplątując końcem bata ogon swego konika z lejc.

Jechaliśmy zwolna, pod górę, topole zwracały ku nam ogromne, rozdarte pnie; gdy cichł szmer jednej, zaraz podejmowała go następna drobniutkim, drżącym głosem liści. Dorożka kołacząc i skrzypiąc sunęła od cienia do cienia, konik pracowicie machał kosmatym łbem.

— A tam Biskupia Góra — wskazał Łopacki. — Będzie pięćset lat, co w zamku zamieszkiwał Adam Mickiewicz.

— Przecież wczoraj mówiliście, że Kochanowski — przypomniałem ponuro.

Łopacki nie usłyszał.

— Ho, ho, Mickiewicz... — powtórzył. — A już w następne lato przyjechał drugi. Tak się ze sobą mieniali... Gdzie lecisz, nie masz sił! — zakrzyknął ściągając lejce, gdyż konik nagle ruszył kłusem.

— A gdzie tu budują cementownię? — spytałem częstując go papierosem.

— Za górą — machnął batem Łopacki. Po czym wetknął papierosa za ucho i odwrócił się do mnie plecami. Sporą chwilę jechaliśmy w milczeniu; powoził teraz urzędowo, rozstawiwszy szeroko łokcie, jak dawni dworscy stangreci. Obserwowałem ciekawie jego brunatny, pofałdowany kark. Przecież jako wozak na budowie mógłby więcej zarabiać.... Koszulę miał przybrudzoną, o bufiastych rękawach, czapkę zrudziałą do cna.

— Starsza tam jest za windziarkę — odezwał się raptem po minucie, znów puszczając lejce luzem. — Już od wiosny. W portkach chodzi.

— Córka? — spytałem półgłosem.

Ale on nic już nie odrzekł. Odgadłem, że dał mi skosztować goryczy swojej duszy i więcej ani słowa nie piśnie. Zresztą wjeżdżaliśmy właśnie w rynek zatłoczony ludźmi. Był czwartek, dzień targowy. Konik zachrapał chwacko wyginając szyję, a Łopacki uniósłszy się w koźle wykonał efektowny gest, który głuchemu człowiekowi mógłby się wydać trzaśnięciem z bicza.

Miasto liczyło prawie dwadzieścia tysięcy ludności, główna ulica wychodząca z Rynku była szeroka, o jedno lub dwupiętrowych kamieniczkach; przeważały białe tynki, gdzieniegdzie przyciągał oko stary budynek z nisko nasiadłym dachem i pięknym rysunkiem bramy. W porównaniu z miasteczkami na Ziemiach Zachodnich, wszystko wydawało się tu nieco bezładne, rozrzucone, wiejskie. Dom przylegał do domu, sady zaglądały do okien, w podwórkach stały wyprzężone bryczki z sterczącymi do góry dyszlami.

BRANDYS

Rzymski

z teraźniejszości

Poprzeczne ulice były prawie tak samo szerokie jak główna, lecz rzadziej zabudowane. Czyjaś szczodra, może królewska ręka nakreśliła tu niegdyś plan, któremu czas niezupełnie sprostał. W takich miastach Polak czuje się u siebie: nie musi ani patrzyć zbyt wysoko, ani zanadto się śpieszyć, ma natomiast dużo wolnej przestrzeni do refleksji.

Łopackiego zostawiłem w Rynku przed Gospodą Ludową, wśród nawoływań sprzedawców i straganów obwieszonych butami. Smakowałem teraz powoli płynące minuty i włóczyłem się leniwie po ulicach. Błądząc po nieznajomym mieście, człowiek niby na nowo odziewa swoje wnętrze; myśl jego nabiera praktycznych cech, jak przedmiot; cały napełniasz się towarem, barwą i kształtem. Sklepy były tu nieźle zaopatrzone. W kilku witrynach zauważyłem rzeczy, których ostatnio zabrakło w Warszawie, na przykład męskie sandały z żółtej grubej skóry i kwieciste kretony na sukienki. Jeden z szyldów miał napis: „Magazyn potrzeb kulturalnych", Można tam było dostać papier listowy, a nawet higieniczny, masowe wydanie „Faraona", wieczne pióro, nowoczesny lep na muchy oraz Kalendarz Rolnika. W dużej spółdzielni Samopomocy Chłopskiej widniał na wystawie nowy typ żniwiarki, musiano ją niedawno wystawić, gdyż przed witryną tłoczyli się ludzie, a wzdłuż chodnika stało kilka furmanek i wozów; błyszczące zielone muchy cisnęły się koniom do oczu. Naprzeciw, po drugiej stronie, przed szybą Baru Mlecznego przystanął furgon piekarski i dwaj mężczyźni w fartuchach wnosili kosze z bochenkami chleba.

W pewnym miejscu ulicę przecinała spadzista droga o parterowych budynkach, pokryta miałem węglowym; z daleka widać było wzniesione szlabany przejazdu. W tym miejscu moje warszawskie ucho przejęło znajomy głos: trak!-trak!-trak!-trak!..

Ursus. Strzelał gdzieś w dole za przejazdem kolejowym, w dość znacznej odległości. Cichł stopniowo w szpalerze drzew przydrożnych, widocznie oddalał się ode mnie. A jednocześnie brzmiał jakby coraz bliżej. Słyszałem jeszcze jego zanikające, dwutaktowe tętno i w tej samej chwili musiałem uskoczyć w bok: z tyłu walił mi się na plecy huk motoru i gorący dech spalin. Zasmolony chłopak na siodełku wychylił się ku mnie, stukając palcem w czoło. Dwie ogromne przyczepy z cegłami toczyły się z ciężkim łoskotem po spadzistej drodze w kierunku szlabanów. Widocznie za przejazdem skręcały na prawo do szosy lubelskiej, która stanowiła oś transportową wielkiej budowy cementowni za Biskupią Górą.

W Rynku przed Gospodą powitał mnie Łopacki wraz ze swym konikiem, obydwaj ożywieni i weseli. Była już pora wracać do hotelu, odpocząć i uporządkować szpargały, z których miałem odczytać świeżo napisany rozdział. Toteż piąte przez dziesiąte słuchałem piskliwej bajdy starego o kradzieży w miejskiej bibliotece i jakimś człowieku co chciał uciec.

— A wsiada i każe jechać! Można — powiadam — a gdzie? A tu z tej całej biblioteki le-eci panienka! le-eci!... Wii ś-ta! Hoooo...

Z ulic świeciła już pusta godzina. Wszystko wokół zamarło w gorącym, rozbielonym powietrzu, na końskiej szyi ciemniał pot. Z trudem wyczłapaliśmy się na garbaty bruk między topole. Łopacki sennie mamrotał coś do konia.

6

Ledwie otworzyłem drzwi do pokoju, przykuło moją uwagę coś zupełnie nowego: zza ściany słychać było t r z e c i g ł o s.

— Proszę pani — mówiła szybko jakaś dziewczyna — ja nie chciałam zrobić przykrości, mnie teraz jest bardzo nieprzyjemnie. Ten pan, jak spisywali protokół, podał Hotel Rzymski, więc ja przyszłam, żeby wyjaśnić...

Musiała być zadyszana ale i gadatliwa; głos jej trochę drżał. Słyszałem, jak tamta — żona — wypytuje ją o coś przestraszonym błagalnym szeptem. Dobiegło mnie parę słów: — Gdzie on jest?... Kochanie, czy pani nie pamięta, w którą stronę on poszedł...

— Proszę pani, niech się pani nie denerwuje — tłumaczyła dziewczyna. — Jabym nawet tego milicjanta nie wzywała, bo przecież mąż, pani wie, ten pan... zaraz książkę zwrócił, ale woźna narobiła krzyku, a milicjant akurat był w Rynku. Och wie pani, niech się pani uspokoi, mąż pewnie zaraz przyjdzie. Co ja narobiłam, co ja narobiłam! I jak mąż mu podał imię i nazwisko, pani rozumie: t o s a m o imię i nazwisko... Ale proszę pani, czy ją mogłam przewidzieć? Należę do ZMP i zaciągnęłam zobowiązanie na 22 lipca, że nie będzie ani jednej zaginionej książki. Od miesiąca porządkuję katalog z koleżanką i dlatego... Proszę pani, co pani robi?

Ostatnie słowa powiedziała zupełnie innym tonem, jakby z urazą czy z oburzeniem. Dosłyszałem, że tamta o coś ją prosi, czy też namawia:

— To drobiazg, naprawdę... tak z serca... ja bardzo proszę... — I obrażony dotknięty głos dziewczyny:

— Też coś! Jak pani nie wstyd? Ja miałabym to wziąć?

Miała chyba łzy w oczach. Zresztą i ja byłem wzruszony, chociaż nadal nie wszystko rozumiałem. Potężne głupstwo musiał palnąć ów nieszczęsny pokurcz, co dręczył siebie i żonę. A i ona, biedactwo, traciła już głowę. Teraz oczywiście, przeprasza bibliotekarkę, znów słychać jej wylękłe prośby i zapewnienia, a mała musi mieć dobre serce, proszę: mięknie, pociesza tamtą, obraca w żart jej nierozsądny gest.

Raptem coś się urwało. Z niewidocznej dla mnie przyczyny rozmowa przeszła w gwałtowny pośpieszny szept.

— Nie, nie! — pochwyciłem tylko — on nie powinien pani tu spotkać... Błagam, niech pani wyjdzie... Proszę skręcić korytarzem w lewo i poczekać minutę...

Potem usłyszałem szybkie poruszenie i odgłos zamykanych drzwi. Dziewczyna pobiegła w głąb korytarza, który kończył się tam ślepym załomem. Zrazu nie pojąłem, o co idzie. Dopiero po chwili odgadłem, że żona zobaczyła go z okna, jak wracał do hotelu.

Wyznaję, że była to dla mnie chwila szczególnego napięcia, gdy rozległy się jego kroki na schodach. Wchodził powoli, jakby resztką sił, potem zaklapał podeszwami niedaleko moich drzwi, przystanął; słyszałem jego oddech, zapalił papierosa. Uświadomiłem sobie, że za minutę wszystkiego się dowiem; i to, że przez kilka godzin włócząc się po mieście ani na chwilę nie mogłem się od nich obojga uwolnić. Minął już moje drzwi i stał teraz zapewne z ręką na klamce sąsiednich.

Spodziewałem się, że zaraz usłyszę jej wymówki, miała przecież uzasadnione powody, by go nie witać jak Lohengrina. Ale widocznie nie doceniłem jej charakteru:

— Chciałbyś coś zjeść? — spytała tylko. — Przyniosłam ze sklepiku szynkę. I zmień pantofle.

Nie wiem czy jadł, czy się przebierał; przez chwilę było cicho. Trwało to dobrych parę minut; jakby się zacięli. Potem usłyszałem jego pokorny, przytłumiony głos: — Dziękuję ci, Iniu...

— Pociąg odchodzi o 7 wieczór — powiedziała. — Połóż się teraz trochę. Ale on już znowu zapalił, zakaszlał i rozpoczynał swój maniacki spacerek od okna do drzwi. Po kilku nawrotach raptem przystanął i mruknął:

— O nic mnie nie pytasz?

Nie odpowiedziała, może już była zbyt zmęczona. Zresztą, po cóż miała pytać; oboje wiedzieliśmy o tym, co zaszło w bibliotece. Po raz pierwszy, odkąd słuchałem ich rozmów, czułem się z nią związany solidarnym obowiązkiem milczenia, i był to mój pierwszy osobisty udział w ich sprawie.

— Nie interesuje cię, gdzie byłem przez ten czas? Co, Iniu? Skąd wracam?

— Wystarczy, że wróciłeś, Adasiu. Przecież zawsze denerwują cię takie pytania.

Powinszowałem jej w duchu godności, on jednak zaśmiał się ze zjadliwą egzaltacją i znowu zaczął dreptać truchcikiem po pokoju. Prawdopodobnie lubił zgrywać się przed nią; ich małżeństwo nie polegało zapewne na wzajemnym szacunku, lecz na jednostronnej kompromitacji, która niekiedy wiąże równie mocno, jak szacunek; stroną skompromitowaną był przypuszczalnie on, wiedział o tym i dlatego ratował się w jej oczach małym kabotyńskim aktorstwem, odgrywał przed nią swoją dawną męskość, z której chyba niewiele już zostało. Po co to robił, przysiągłbym, że kochała go takim, jakim był. Mnie jednak grał na nerwach i nie mogłem powstrzymać odruchu niechęci, gdy oświadczył, że nie dużo brakowało, a byłby już nigdy nie wrócił. Takich zdań z reguły nie należy wypowiadać i myślę, iż na ogół nie są zgodne z prawdą. Powtórzył to jednak, nawet z satysfakcją, i dodał, że był nad rzeką.

— Ale cofnąłem się, Iniu. Widzisz... Pomyślałem o tobie.

— Proszę cię — rzekła u kresu cierpliwości — połóż się, odpocznij. Wyglądasz jak z krzyża zdjęty. Ach, Boże, Boże, i to ma być twój urlop...

Usłyszałem szelest papieru, on coś do niej mówił, a potem znowu jej udręczony głos:

— Ależ błagam cię, zostaw, nie chcę tego widzieć...

— Proszę cię, to jest pierwsza kartka — tłumaczył z nudnym uporem — właśnie ta z dedykacją... Bo może myślisz, że ja sobie uroiłem? Nie, Iniu, Sufczyński wiedział, co mówi. Od razu znalazłem w katalogu moje nazwisko. Tak, tak, „Pamiątki na Lubelszczyźnie" — numer 32166, widzisz, pamiętam nawet numer. Nie przewidziałem tylko jednego: że to nie wypożyczalnia. Tam się czyta na miejscu, słyszysz, Iniu, to jest biblioteka publiczna... No więc daję legitymację, o miejsce zamieszkania nie spytała, potem wypisuję numer książki, jest... Nikt nie widział, absolutnie, siedziałem plecami do bibliotekarki, jak wydarłem tę kartkę. Bardzo zręcznie to zrobiłem. Mówię „kartkę"... słyszysz Iniu? ot, zdawałoby się, kartka... A to jest przekleństwo. Iniu, ty śpisz? Iniu!

— Nie śpię, Adasiu.

— Bo oczy miałaś zamknięte. Więc wydarłem ją, uważasz, całkiem zręcznie. Aż tu nagle robi mi się zimno... Na tej kartce jest numer i pieczątka. W mig ogarniam sytuację, że jak zwrócę książkę, to bibliotekarka przede wszystkim na ten numer rzuci okiem, i rozumiesz.... znikł, nie ma go. Wtedy — ale słuchaj — to był moment, sekunda, ona akurat weszła za jakąś półkę, ja decyduję się...

— Przestań! — krzyknęła — Jezus Maria, przestań!

Przeraziłem się, tyle cierpienia było w jej głosie. Lecz on, słyszałem, nie dawał spokoju i świdrował ścianę podnieconym, prędkim szeptem: — Ale czekaj, ale czekaj, nic jeszcze nie wiesz, chwileczkę...

Opowiadał do końca, jak uciekł z książką, jak go zatrzymali w dorożce, i nawet opisał wygląd milicjanta, który sporządził protokół. Wszystko przedstawił nadzwyczaj dokładnie i — przynajmniej tak mi się zdawało — z pewnym odcieniem dumy, czego nie mogłem pojąć. „Bardzo przystojny blondyn — powiedział o milicjancie — trochę podobny do twojego Lutka". Potem dorzucił z wyraźną satysfakcją, że po sprawdzeniu personaliów milicjant zwrócił mu dowód i zasalutował.

Nie przerwała mu ani jednym słowem. Widziałem ją w myśli siedzącą na niepościelonym łóżku, z twarzą w dłoniach. On wreszcie także umilkł, zapewne już nasycony, że niczego jej nie oszczędził. A po chwili rzekł zwolna, jakby w zamyśleniu:

— Pamiętam dokładnie jego fotografię. Z buławą. Jak to o nim wtedy pisali... Mąż opatrznościowy. I pomyśl, ktoby przewidział.

Znieruchomiałem ze zdziwienia. To było doprawdy coś zupełnie nowego. A on znowu zaczął biegać po pokoju.

Fotografię?.. Z buławą?... Sądziłem, że już wszystko rozumiem, a tu masz babo buławę i fotografię. Spojrzałem na zegarek, czasu pozostało nie wiele. Ale wyjść, opuścić ten pokój, porzucić nierozwikłaną zagadkę ich dwojga — było to dla mnie ponad siły. Wytężyłem całą moją domyślność, wszystko, co miałem w głowie, w jednej krótkiej chwili postawiłem na nogi... i raptem — błysnęło mi, odgadłem. Oczywiście, odgadłem, to było śmiesznie proste.

Lecz zanim zdążyłem się utwierdzić, zza ściany dobiegły mnie odgłosy sprzeczki, zaklęcia i gniewne pokrzykiwanie. Wyrwał się z tego szyderczy, afektowany śmieszek, jakieś: „hebe, a to świetne!" po czym usłyszałem:

— Ty mnie nie mów takich rzeczy, Inia. Czego ja się boję? Mało czego jest się bać? Tak? A twój Lutek, twój rodzony brat, jak mu odbierali sklep, pamiętasz, co powiedział? „Że odebrali, to pół biedy. Ale bieda, co oni jeszcze odbiorą?" A ty myślisz, że niby co: jak się dowiedzą w Wydziale o dedykacji, dadzą mi żyć? Szmatę ze mnie zrobią, Iniu, szmatę. Ale to byłoby pół biedy: ja sam ze siebie będę musiał zrobić szmatę. Przed Kołaczem. Przed Millerówną... nawet przed tym woźnym, Piotrowskim. Tak, właśnie przed Piotrowskim. A ja przecież mam chorobliwe poczucie godności, Iniu, ty najlepiej o tym wiesz, a poza tym, cóż, to może dzisiaj śmiesznie brzmi, ale koniec końców jestem szlachcicem... He, he, już widzę wzrok Kołacza. Ten wzrok z ich punktem widzenia. A z ich punktu widzenia ja jestem szmata i jak mi narzucą swój punkt widzenia, to sam przyznam i powiem: tak, ja jestem szmata. Bo obiektywnie, czy jak oni mówią: historycznie — sprzymierzyłem się z wyzyskiem. Po to żeby wydać książkę w sanacyjnej Polsce, napisałem hołdowniczą dedykację dla samego wodza. Widzisz, nawet mi Kołacz nie będzie potrzebował tłumaczyć, pierwszy z tym wyskoczę! I nawet nie o to chodzi, że stracę posadę, ale czy ja przeżyję ten wstyd? I to teraz, kiedy miałem zostać zastępcą kierownika... Ludzie mnie przecież nie oszczędzą, jak spadnę. Czasem łapię się Iniu, za głowę, i tak stoję... i tak myślę...

Słucham z przykrą zgrozą. Widok wielkiego upadku może mieć w sobie coś druzgocącego, ale ten upadek budził tylko mdłe uczucie wstrętu pomieszane z litością; niechże nas los od takiej litości strzeże.

Umknęły mi jej słowa; prosiła go zapewne, żeby się uspokoił, i nie wątpię, że znalazła jeszcze ostatek sił, by go pocieszyć. Ale daremnie, on już się rozsmakował w swojej hańbie:

— O czym myślę?.. — szeptał — o wszystkim. O życiu... o śmierci... Ja się przecież kiedyś urodziłem, byłem małym chłopcem, pamiętam, że ojciec huśtał mnie na kolanach... Ja to się stało, Iniu, że teraz jestem taki? Ty nawet nie wiesz, ile ja nakłamałem. Powiadam: urodziłem się, mój ojciec... Ale ja sam, własnoręcznie temu zaprzeczyłem. W ankiecie podałem, że mój ojciec był chłopem. Tak, chłopem. Zaparłem się nawet rodzeństwa, bo musiałbym napisać, że Zenia z mężem jest w Argentynie... I ty mówisz, żebym poszedł do Kołacza? Żebym wszystko wyznał?.. Aj, Iniu, Iniu... Więc chcesz, żebym mu powiedział: nie ma mnie, kolego! To, co przed Wami siedzi, to jest fikcja! Tak mam zacząć? Kolego Kołacz, ja jestem nieprawda! Ze mnie został tylko etat! A resztę sam zniszczyłem! Sam! Sam!..

— Adasiu! — zawołała.

Nie mogłem dalej słuchać. Jeszcze chwila, a krzyknąłbym przez ścianę, żeby się wreszcie opamiętali; najchętniej zaś wpadłbym do nich i chwycił go za kołnierz. Gdybym nim z całej siły potrząsnął, może by zagrzechotały w tej przemielonej duszyczce jakieś szczątki ludzkiej godności?

Była już czwarta za kwadrans. Zebrałem swoje kartki ze stołu i wybiegłem na korytarz, głośno trzasnąwszy drzwiami.

Przed hotelem powitał mnie szum ulewy, strugi deszczu chlastały o kamienny podjazd, przed którym czekał ze swym przemokłym konikiem Łopacki w płachcie narzuconej na głowę. Mówił coś do mnie, ale nie słychać było głosu. Wlazłem pod dziurawą budę i wjechaliśmy między topole w gniewny świst gałęzi gnących się ku ziemi.

7

Dyskusja była dość żywa. W niewielkiej widnej salce podobnej do gimnazjalnej klasy siedziało około pięćdziesięciu osób. Kilka matek przyprowadziło dzieci, które zajęły miejsca w pierwszym rzędzie i nie spuszczały ze mnie okrągłych, troszkę wystraszonych oczek. W drugim po lewej stronie spostrzegłem parę schludnych staruszków: ona siedziała sztywno, trzęsąc drobniutko głową w kapeluszu ze sztucznymi kwiatkami, on — w binoklach z łańcuszkiem — nachylił ku mnie ucho dłonią zwiniętą w trąbkę i co parę chwil uśmiechał się ze zrozumieniem. W głębi zauważyłem sporą gromadkę młodzieży, kilku uważnie słuchających mężczyzn o wyglądzie nauczycieli, oraz trzy surowe niewiasty unikające mego wzroku, przypuszczalnie działaczki tutejszej Ligi Kobiet. Ostatnie dwa rzędy zapełnił podwójny szereg wojska, które w sile plutonu przybyło na mój wieczór z młodziutkim chorążym, uzbrojonym w notes i ołówek.

Przez uchylone okno wpływało chłodne powietrze i zapach mokrych gałęzi, deszcz przestał już padać i dopiero teraz uprzytomniłem sobie, jak bardzo nękał mnie upał. Gdy zacząłem czytać, w podwórku pobekiwała koza; kiedy skończyłem, uśmiechnięty kierownik Domu Kultury zagaił dyskusję. Zrazu nikt się nie kwapił i parę minut trwało skrępowane milczenie, wreszcie początek zrobił młody chorąży, który wstał i stuknąwszy obcasami zapytał, czy w mojej nowej książce będzie coś o wojsku. Ośmieliło to innych słuchaczy i wywiązała się dyskusja o współczesnej literaturze. Uwagi częstokroć padały naiwne, lecz była to naiwność pierwszych doświadczeń, nieśmiała, trochę uroczysta, nietknięta rozczarowaniem — nauczyłem się jej nie lekceważyć. Zresztą i tutaj znaleźli się czytelnicy bardziej wtajemniczeni, jak na przykład uczeń z kędzierzawą czupryną, który grubym i srogim głosem zarzucił mojej ostatniej powieści szereg nieprzekonywających rozwiązań, zwłaszcza w wątku młodzieżowym.

— Towarzysze autorzy — wyrąbał — nie orientują się w nowej problematyce! — po czym dorzucił groźnie: — Całość ujdzie, chociaż styl zawiły. Skończyłem!

Ogarnęło mnie zakłopotanie i nie wiem, czy bym potrafił się obronić, lecz właśnie poprosiła o głos staruszka w słomkowym kapeluszu z kwiatkami. Cichym, czyściutkim szeptem pozwoliła sobie zauważyć, że mój bohater — z dwóch dziewcząt występujących w powieści — pokochał nie tę, którą powinien był wybrać.

— Czułam pewien zawód... — tłumaczyła zaróżowiona — może autorowi wyda się to śmieszne... Ale mój mąż — tu spojrzała na schludnego pana w binoklach — odniósł podobne wrażenie... — Umilkła, zbita z tropu, a on skinął głową z powagą i spostrzegłem, że nieznacznie pogładził jej drobną, starą rękę.

Mieli zapewne wspomnienia z dawnych lat miłości. Odparłem, że być może uwagi ich są najzupełniej słuszne i przyrzekłem zastanowić się głębiej nad tą sprawą. Potem dowiedziałem się od kierownika, że był to dyrektor tutejszego gimnazjum ze swoją żoną, nauczycielką rysunków; oboje — działacze Komitetu Frontu Narodowego i ludzie, jak mówiono, pozytywni.

Żegnano mnie serdecznie, i wszyscy, nie wyłączając chmurnych działaczek Ligi Kobiet, uśmiechali się do mnie z życzliwością, a uczeń z kędzierzawą czupryną, chcąc mi zapewne wynagrodzić krytyczne zastrzeżenia, pytał o moje dalsze plany literackie, zwracając się do mnie basem per „towarzyszu autorze".

Do odejścia warszawskiego pociągu pozostała jeszcze godzina: umyć ręce, zapłacić rachunek w hotelu i przekąsić coś w bufecie. Łopacki w drodze powrotnej opowiadał mi o prywatnym życiu kierownika Domu Kultury: wieczorami grywał podobno w „sześćdziesiąt sześć" z zawiadowcą stacji. — Taki on człowiek — kręcił przemyślnie głową stary — kto go tam wie... — Wracaliśmy nie spiesząc się, konik spokojnie wiosłował chudą szyją, Łopacki przemawiał do niego na przemian to miłośnie, to wzgardliwie, a w pewnej chwili mruknął: — Nieużyty on jest... — i nie wiadomo, czy miał na myśli konia, czy też kierownika. Czułem senne zmęczenie, dorożka zapadała się w rozpadlinach, niskie dymiące słońce mijało wraz z nami topole przydrożne, tocząc ognisty blask po mokrych łąkach i rzece.

Na wzniesieniu, tuż przed stromym spadkiem bruku, Łopacki ściągnął lejce i wskazał bacikiem zachodzące słońce:

— A tam Biskupia Góra...

Cmoknął na konia, i z gracją okrążając studnię, wszyscy trzej wpadliśmy na placyk przed Hotelem Rzymskim, pełen złotawego zmierzchu, lecz o tej porze już bezludny, nie licząc jakiejś samotnej pary — mężczyzny w kapeluszu i ciemno ubranej kobiety dźwigających walizkę ku stacji. Kiedy płaciłem Łopackiemu, zatrzymali się koło studni, by chwilę odpocząć, i wtedy przypadkiem rzuciłem na nich okiem: człowiek o spoconej, jakby poszarzałej twarzy, z której rysów zapamiętałem tylko torby pod oczami oraz zadarty nos, i zwiędła niemłoda brunetka ze zbyt jaskrawym różem na policzkach. Po chwili niewprawnie podnieśli walizkę i ruszyli w stronę stacji, skąd dochodził już łoskot wekslowanego parowozu.

— Niech pan tu kiedy jeszcze zajedzie — żegnał mnie Łopacki. Widok z góry zobaczyć... Przeważnie stoim przy studni, hoooo!.. prruu!..

Schował papierki za podszewkę czapki i powoli zawrócił konikiem w stronę miasta. Widziałem jeszcze jak przystanął przed kościołem i zdjął czapkę, żeby przeliczyć pieniądze.

Dopiero później, w pociągu, przyszło mi do głowy, że to mogli być oni. Wyglądali jednak zupełnie inaczej, niemal odwrotnie niż ich sobie wyobrażałem przez ścianę. Czyżbym aż tak się omylił? Było mi przykro, że się dałem zwieść swojej wyobraźni. Ale z drugiej strony, dlaczego mieli to być właśnie oni? albo to w Polsce brak małżeństw z walizkami?.. Dobrze, lecz szli od Hotelu Rzymskiego ku stacji, na kilkanaście minut przed godziną odejścia pociągu, którą ona wymieniła... A potem, kiedy myłem ręce, zza ściany nie rozległ się nawet szelest, po prostu nikogo tam już nie było... Więc chyba jednak oni?...

Ale nie potrafiłem się co do tego utwierdzić, gdyż zmęczenie i senność pogrążały mi w drzemce każdą wyraźniejszą myśl. Po kwadransie zasnąłem na dobre, a kiedy się przebudziłem, w Warszawie była już noc i pociąg stał na Dworcu Wschodnim.

8

A później warszawskie dni odsunęły daleko wstecz tę osobliwą przygodę. Prawie o niej zapomniałem i z czasem w pamięci pozostał mi tylko jej cień, bardzo niewyraźny, podobny do śladu dawnego snu, którego niesposób już sobie odtworzyć. Pamiętam natomiast dokładnie wyniosły, roziskrzony stok z ciemnym zameczkiem na szczycie, i troiście rozwidlone topole wzdłuż brukowanej ulicy, prowadzącej do Rynku; a pewnego dnia, wiosną wpadła mi w ręce gazeta z wiadomością o uruchomieniu produkcji w cementowni imienia Mariana Buczka pod Biskupią Górą. Po środku tekstu wydrukowanego tłustym petitem widniała łysa, mocno sklepiona głowa o wydatnych brwiach, spod których oczy patrzyły ku mnie żartobliwie i porozumiewawczo: „A papierosików na czczo radzę nie palić..." Podpis brzmiał: „Inżynier Stanisław Garbowski, kierownik budowy cementowni im. Mariana Buczka, odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi za ofiarną pracę".

Przyszło mi na myśl, że chciałbym się z tym człowiekiem jeszcze kiedyś zetknąć i nie zakląłbym pod nosem na widok jego łysiny wciśniętej w hotelową poduszkę. Sypiał twardo, a przecież nie chrapał, choć miał do tego wszelkie prawa. Niestety, dotychczas nie udało mi się go po raz drugi spotkać.

Natomiast w pół roku później jedna z instytucji oświatowo - kulturalnych zaprosiła mnie na wieczór literacki do Lublina. Po dyskusji dyrektor, ruchliwy człowiek o gospodarskich manierach, częstował kawą w swoim gabinecie, w którym wisiały na ścianach duże plansze, ilustrujące darwinowską teorię rozwoju. W pewnej chwili zainteresowała mnie zbiorowa fotografia nad półką z książkami. Zdjęcie, jakby nieco storoświeckie, przedstawiało grupę mężczyzn i kobiet upozowanych amfiteatralnie: pierwszy rząd na krzesłach, drugi, liczniejszy, stał za plecami siedzących; wszyscy w odświętnych ubraniach. Gdy dyrektor opuścił na chwilę gabinet, podszedłem bliżej, by odczytać napis wykaligrafowany u dołu obszernego passe-par-tout: „Na pamiątkę wspólnej współpracy w latach 1947 — 1952". Niżej szły podpisy. W rzędzie siedzących spostrzegłem uśmiechniętą twarz dyrektora, po jego lewej zaś ręce — inną, niewątpliwie znajomą. Nikły, zatarty ślad musnął mi pamięć i przez sekundę zobaczyłem niezwykle dokładnie placyk przed Hotelem Rzymskim, poróżowiały od zmierzchu, kamienną studnię obok postoju dorożek, i dwoje ludzi dźwigających zniszczoną walizkę.

— Ogląda pan nasz Wydział? — zaśmiał się raźnie dyrektor, który właśnie wrócił do gabinetu. — Wcale zgrana gromadka! Zdjęcie z podpisami dali mi w upominku, widzi pan, to taki prowincjonalny zwyczaj.

Mówił to zza moich pleców. Stałem wpatrzony w twarz jego sąsiada. Dzisiaj znowu nie mógłbym sobie przypomnieć jej rysów — była to doprawdy pospolita i mało wyrazista twarz, jakich wiele — wtedy jednak wiedziałem na pewno, że jest to ten sam mężczyzna o zadartym nosie i szarawych workach pod oczami, którego minąłem na placyku przed Hotelem Rzymskim, gdy Łopacki przywiózł mnie z miasteczka.

— Zdaje się, że znam Kolegę po pańskiej lewej ręce — zauważyłem półgłosem — musiałem gdzieś go widywać...

— A, to Twardowski... — rzekł jakby z rozczarowaniem. — On już u nas nie pracuje.

Widząc mój pytający wzrok, mruknął niechętnie: — Nieprzyjemna historia... — Należał zapewne do owego gatunku solidnych urzędników, co nie lubią wynosić na zewnątrz spraw personalnych swojego wydziału.

Wiedziałem, że rad byłby zmienić temat, ja jednak nie mogłem ustąpić: mój osobisty udział w tej historii dawał mi poczucie równouprawnienia.

— Oczywiście, Twardowski — mówiłem przypatrując się fotografii. — Zaraz, jak mu to było na imię?... Bodaj czy nie Adam...

Słowo po słowie zacząłem z niego wyciągać bliższe okoliczności owego zdarzenia, za które — jak twierdził dyrektor — nikt nie jest odpowiedzialny. Twardowski był wzorowym pracownikiem. Siedem lat nienagannego wykonywania obowiązków, podobno zwrócił na siebie uwagę kierownictwa, miał nawet dostać wyższą grupę. Aż oto pewnego dnia wbił sobie do głowy, że z ł a m i ą m u k a r i e r ę z powodu plamy na przeszłości...

— Macie na myśli tę książkę? — wtrąciłem.

Dyrektor przyjrzał mi się podejrzliwie.

— Ja nic nie mam na myśli — zabębnił palcami po stole. — Relacjonuję tylko fakty.

Wyjaśnił jednak, że była to książka o zabytkach na Lubelszczyźnie: Twardowski przed wojną pracował w Urzędzie Konserwatorskim miał też podobno jakieś naukowe ambicje; dyrektor określił ją, jako rzecz nieszkodliwą, ot, popularna gawęda, dla młodzieży, całej parady około stu stron druku. Ale wiadomo, jakie wówczas panowały stosunki: Znaleźć wydawcę na taki towar... Cóż więc robi Twardowski?

— Poświęca, proszę was, tę książczynę Rydzowi - Śmigłemu! Na pół stronicy macha dedykację dla „męża opatrznościowego" i, ma się rozumieć, uzyskuje poparcie wojewody; wydawca zaraz się znalazł.

Podszedłem do biblioteczki, by raz jeszcze przyjrzeć się mężczyźnie na fotografii. Siedział prosto i sztywno, z lekka zwrócony ku szefowi, patrząc w ślad za jego wzrokiem w obiektyw, serio i bez uśmiechu, ręce miał złożone na kolanach. Znowu nie potrafiłem skojarzyć tej postaci z głosem, jaki pamiętałem zza ściany Hotelu Rzymskiego. Nie wiele by o nas wiedziała potomność, gdyby jej przyszło sądzić z fotografii o tym, kim byliśmy za życia.

Dyrektor chodził po gabinecie. Od czasu do czasu przystawał, spoglądając na moje plecy. Prawdopodobnie niepokoiło go trochę, że tak się zainteresowałem tą sprawą.

— Ktoś mu to musiał przypomnieć, nie sądzicie?

— Możliwe — uciął krótko — ale nie ja.

Po chwili dodał, jak gdyby usprawiedliwiając się z faktu, za który, wedle jego własnych słów, nikt nie ponosił odpowiedzialności.

— Proszę sobie tylko wyobrazić: pewnego dnia zaczął jeździć z miasta do miasta i wycofywać z różnych wypożyczalni tę swoją broszurkę. Brał niby do czytania — i nie oddawał! Co tu dużo gadać — kradł własne książki. Nakład, rozumiecie, nieznaczny, nie wiele z niego zresztą przez wojnę zostało, i to, zdaje się, tylko w zasięgu naszego województwa. Więc jeździł rzemiennym dyszlem, a z nim żona. Poczciwa jakaś kobiecina, zagnana do ostatka, zapłakana. Omal, że jej na śmierć nie zadręczył: musi ra-

tować opinię, bo inaczej go wykończą...

— Kto? — zapytałem, uważnie patrząc mu w oczy.

Dyrektor przyglądał mi się przez chwilę, a potem odparł sucho:

— Widzę, że was ta sprawa obchodzi.

Nie zamierzałem ani przez moment ukrywać, że obchodzi mnie więcej, niż mógł przypuszczać.

Poczęstował mnie papierosem i mruknął spoza dymu:

— O tej książce 1 o... dedykacji, wiedzieliśmy od dawna. Tak, od dawna — potrząsnął głową z uśmiechem. — Już ze trzy lata temu przyszedł do mnie taki jeden tutejszy plotkarzyna, Sufczyński, co siedzi w Zarządzie Bibliotek, i pokazał mi tę książeczkę. Mnie i Kołaczowi z personalnego. Taaak... No cóż, warto było robić użytek? Pracował przyzwoicie, chcieliśmy mu dać szansę. Kto mógł przewidzieć...

Nalał kawy i zastanowił się nad czymś przez moment, marszcząc brwi:

— Jeśli was coś w tej historii niepokoi... Trudno rozsądzić, wierzcie. I ja się tym gryzłem. Cóż, może się przeląkł, ludzie i u nas bywają różni... A pozatem rodzinka, okazało się, mieszczańska... jakieś ciotki — bigotki, jakiś szwagier — były „chłop od Mikołajczyka". Ot, światek... Żona wreszcie z sił opadła. Gdzieś go tam przyłapali, jak ściągał ten swój tomik. Strach, wstyd! Przyszła — wszystko opowiedziała...

Milczeliśmy obaj nad niedopitą kawą. Dyrektor był chyba porządnym człowiekiem. Po chwili przeszliśmy na inne tematy i wymieniwszy uwagi o nowoczesnych metodach wychowawczych, zgodziliśmy się co do tego, że w pedagogice dziecięcej moment strachu przed karą należy zastąpić dyscypliną moralno - społeczną. Dyrektor był zdania, iż strach we wszelkiej postaci, p s u j e człowieka, i że rozwój polega na likwidacji źródeł strachu. — Co to jest w ogóle człowiek? — wskazał na plansze wiszące nad biurkiem. — To, proszę was, małpa, która n i e p r z e s t r a s z y ł a s i ę ognia!

— Co się teraz z nim dzieje? — spytałem, gdy przerwał.

— At! — machnął ręką dyrektor — szkoda słów. Namawiałem, żeby został w Wydziale, ale on nie chciał. Ludzi się bał, prosił o przeniesienie. Pracował potem gdzieś w chełmskim powiecie, a później, słyszałem, i to rzucił. Gość się wewnątrz p o p s u ł. Żona go teraz podobno utrzymuje, prowadzi jakąś stołówkę, czy coś w tym rodzaju. Tak — wskazał na fotografię — zdawałoby się, solidny, zapięty na ostatni guzik. A diabła miał za skórą. I chyba diabeł jest za to odpowiedzialny...

Strząsnął popiół na spodek i przyjrzał się, jak topnieje w resztce rozlanej kawy.

— No i macie całą historię.

*

Postanowiłem ją zapisać, mimo iż — szczerze mówiąc — wolałbym się był o niej nigdy nie dowiedzieć. Nie, to nie jest historia współczesna! A jeśli się mogła w dzisiejszych czasach zdarzyć, uczyńmy wszystko, żeby się nie zdarzyła nigdy więcej. I żeby w przyszłości można się z niej było tylko śmiać.

Obory, lipiec 1954 r.

Kazimierz Brandys

HENRYK BEREZA

Nowe „Węzły życia"

Przyzwyczailiśmy się od dawna, że tylko u wielkich klasyków przeszłości badamy rozmaite odmiany tekstów. Z drobnych odmianek tekstów Mickiewicza wyciągamy daleko idące wnioski. Z mozołem ustalane są jakże liczne redakcje dzieł Słowackiego. Skomplikowane wysiłki badawcze filologów odsłaniają dramatyczne przebiegi zmagań twórców z materią życia, którą chcieli utrwalić w słowie. Ale i w literaturze współczesnej znajdziemy przykłady dramatyzmu tych zmagań. Teksty Nałkowskiej, Dąbrowskiej, Iwaszkiewicza, Brezy czy Rudnickiego — żeby sięgać tylko do przykładów prozaików — pulsują gorącym rytmem walki o piękno i pełną treść słowa pisanego. Imponującym przykładem troski o urodę i prawdę dzieła literackiego jest fakt, że Zofia Nałkowska, tak niezawodna w swoim kunszcie pisarskim, podjęła trud przepracowania „Węzłów życia". Zwłaszcza dla naszej młodej literatury jest to przykład wagi szczególnej.

Poprawiona wersja końcowej części „Węzłów życia" *) jest nie tylko wyrazem troski o najdoskonalszy kształt językowy utworu, choć wzruszają po prostu ledwie uchwytne dla zwykłego śmiertelnika odcienie stylistyczne, które Nałkowska uznała za potrzebne uwzględnić w książce. Któż dostrzegłby bez dokładnego przemyślenia różnicy większą precyzyjność zdania „Dzianwa zdawał się być tym, co go spotkało, bardzo wstrząśnięty" od zdania „Dzianwa zdawał się być bardzo wstrząśnięty swym przeżyciem". Tylko dzięki konfrontacji tych dwóch zdań można sobie uzmysłowić, że słowo przeżycie nie jest najszczęśliwsze dla określenia tego, czym dla uczonego profesora było zburzenie przez bombę domu wraz z dziełem, które było owocem pracy całego życia. Któż dostrzegłby jakąś niewłaściwość w zdaniu „Łóżka tego od szeregu miesięcy nie opuszczał człowiek sparaliżowany, który zginął zarówno w sensie przenośnym, jak dosłownym, ponieważ pod gruzami nie było go nigdy widać". Nałkowska uściśla jednak ostatnie zdanie podrzędne, bo pisze w wersji poprawionej „ponieważ pod zwaliskami nie można było znaleźć jego zwłok." Oto troska, by słowo myślom nie kłamało.

Wprawdzie, jak się już napisało, nie dla językowych względów przerabiała Nałkowska „Węzły życia", należy jednak tę pieczołowitość niezwykłą o celność i urodę słowa uznać za zjawisko, które rzuca się po prostu w oczy. Cokolwiek bowiem mogłoby się i chciało powiedzieć o prozie Zofii Nałkowskiej, nie da się zaprzeczyć, że jest to proza o najwyższej sprawności ekspresywnej. Całościowa lektura jej dorobku twórczego budzi w człowieku przekonanie, że autorka „Medalionów" potrafi w słowie utrwalić wszystko. W jej dziełach żyją wszystkie jej domy, drzewa i zwierzęta, żyją jej rodzice, bliscy i znajomi, żyje świat jej własnych złudzeń i złudzeń współczesnych, żyje niesamowite okrucieństwo czasów i piękno ludzkiego bytowania.

„Z zachceń, ze wspomnień, z tęsknoty i oczekiwania, ujarzmionych głosem i różnymi sposobami wyodrębnienia, wzmocnienia i otamowania jego dźwięku — urasta coś, w czym jest podmiot i orzeczenie, czas mający nastać i przeminiony. Powoli, opornie, jednak cała rzeczywistość daje się nazwać i orzec, daje się nazwać nawet życie i śmierć.

Niesłychany fenomen świadomości, uwięziona w doznaniu i myśli, wydana w głosie i jego przemyślnych drganiach rzeczywistość trwająca, tocząca się w bezliku przemian, stawań i ziszczeń — to wszystko jest uchwycone i nazwane, tego wszystkiego nieustająca przemienność i przelewność jest powiedziana w podmiocie, orzeczeniu, w przypadkach i koniugacjach".

Od czasów „Kwiatów polskich" nikt takiego hymnu na cześć mowy nie wyśpiewał i rzadko kto miałby prawo tak śpiewać. W „Węzłach życia" hymn ten przypisała Nałkowska generałowej Agacie Wysokolskiej, wspominającej górną swą młodość nauczycielki chłopskich i robotniczych dzieci. Jakie szczęście, że Nałkowska nie przestrzega, prawem kaduka uznanej niemal za warunek realizmu, zasady, żeby bohaterowie myśleli i mówili komunały zawodowo - środowiskowe.

Dopisane partie powieści zawierają szczególnie wiele pięknie sformułowanych myśli, uogólniających doświadczenia życiowe bohaterów, w sposób aforystyczny wyrażających filozoficzno-moralny sąd autorki nad danym zjawiskiem życia.

Zarówno subtelności językowe jak uogólnienia filozoficzne są produktem ubocznym przepracowania wielu motywów fabularnych powieści, wprowadzenia zmian koncepcyjnych w charakterystykach wielu postaci powieściowych. Co oznaczają i czemu służą te zmiany?

Gdyby mi przyszło określić choćby jeden z wielu ideałów polskiej prozy, o której marzę, stwierdziłbym chyba, że mogłaby to być proza Nałkowskiej, gdyby tematem jej byli nie tylko ludzie, którzy — mówiąc językiem autorki „Węzłów życia" — wypełniają gotowe formy ale także ludzie, którzy nowe formy świadomie kształtują. Byłaby to oczywiście proza realizmu socjalistycznego, ale trzeba sobie też uświadomić, że ten stosunek bohatera do rzeczywistości określa zasadniczą różnicę między realistyczną metodą twórczą Nałkowskiej z „Romansu Teresy Hennert", „Domu nad łąkami", „Granicy" a zresztą i innych utworów a metodą realizmu socjalistycznego. Różnica to istotna ale możliwa do wyrównania.

Człowiek u Nałkowskiej jest taki, jak miejsce, w którym się znajduje — mówi to Nałkowska sama i po wielekroć o swoich bohaterach — i co najwyżej świadomie lub podświadomie szuka usprawiedliwienia dlatego, że nie jest taki, jaki być mógłby i powinien. Wszystkie z taką niezrównaną precyzją podchwytywane przez Nałkowską indywidualne filozofie życiowe, mniemania ludzi o sobie, dziwactwa psychologiczne, komplikacje psychiczne i dramaty jednostek w ostatecznej konsekwencji są wyrazem niezadowolenia człowieka z miejsca, w jakim się znajduje i swojej od niego zależności.

Nałkowska przed nową redakcją „Węzłów życia" nie wyszła poza deterministyczną koncepcję człowieka. Zarówno ci z „Romansu Teresy Hennert", „Choucas", „Granicy" jak ci z „Domu nad łąkami" i „Ścian świata" byli w całości ukształtowani przez warunki na dolę lub niedolę. Niektórym z nich, „Książętom", Ziembiewiczom i Wysokolskim zdawało się w pewnych okresach życia, że chcą, żeby było inaczej. O ostatnim z nich, o Wysokolskim powie jednak Nałkowska w dopisanym zdaniu poprawionych „Węzłów życia", że „jego młodość wypełniła walka o możność aprobaty, o zdobycie moralnego prawa do solidarności z tym, co jest". Niektórzy z nich jak Laterna i Dzianwa objaśniali ponadto, że to, co jest, to nie wszystko, co może być. Nawet Baraz, który w pierwszej redakcji „Węzłów życia" był bohaterem, najbardziej świadomie pragnącym, żeby było inaczej, zdawał się mimo woli przylegać do „gotowych form", był rewolucjonistą potencjalnym nie rzeczywistym.

Nowa redakcja powieści przynosi jednoznaczną charakterystykę jego postawy. Baraz nie jest uczulonym społecznie z racji proletariackiego pochodzenia inteligentem, jest rzeczywistym rewolucjonistą, wraz z Józikiem Stokłoskim, więźniem od Biggsa jakże różnym od Cyngala z pierwszego tomu i rewolucjonistami, którzy żyją w świadomości bohaterów nie rewolucjonistów (myśli prześladowcze Oxeńskiego), reprezentuje pozytywne, walczące a nie tylko krzywdzone siły społeczne. Nader oszczędnie, nie naruszając zasadniczego charakteru powieści o starym świecie wskazała Nałkowska na pozytywne siły historii. Rubikon został przekroczony. Dopisany epizod z odejściem Baraza i Stokłoskiego otwiera dla świata bohaterów „Węzłów życia" niedwuznaczne perspektywy.

„— Odchodzę teraz, tak trzeba — mówi Baraz do Sonki Wysokolskiej. Z Józikiem i tamtymi ludźmi.

Ruchem głowy i spojrzeniem ukazał grupę robotników, sunących z wolna drugim brzegiem szosy. Szli w stronę przeciwną, nie ku Warszawie. — Ale wrócę. I wtedy już — prawda? — wtedy i ty także..."

Epizody z więźniem od Biggsa (s. 68-71), z Józikiem Stokłoskim (s. 114-115), z wspomnieniami Oxeńskiego (s. 30-32), z odejściem Baraza (s. 137) mają na tle twórczości Nałkowskiej znaczenie niezwykłe, świadczą bowiem o dopracowaniu się przez pisarkę koncepcji człowieka burzącego kapitalizm. Nałkowska od zarania swej twórczości gotowa była w imię humanizmu i praw demokratycznych wypowiadać się w obronie rewolucjonistów, w nowej wersji „Węzłów życia" rewolucjonistów uczyniła pozytywnymi bohaterami.

Rzecz prosta analizowane postacie i epizody nie zostały włączone do powieści mechanicznie. Przemyślenia pisarki sięgają istoty jej rozumienia człowieka i rzeczy ludzkich. U podstaw materialistycznej koncepcji człowieka u Nałkowskiej nie leżał materializm historyczny. Nawet w „Romansie Teresy Hennert" i w „Granicy" przedmiotem zainteresowania pisarki nie był czas historyczny. Pisarkę interesował człowiek jako określona realność obiektywna. Jest po trosze sprawą przypadku, że w „Romansie" terenem badań była piłsudczykowska soldateska, a w „Granicy" międzywojenny światek prowincjonalny. Zarówno jedno środowisko jak drugie było potrzebne dla ukazania materialnego uwarunkowania charakterów ludzkich. O wyborze środowiska decydowały tu — jak sądzę — po prostu życiowe możliwości pisarki przeprowadzania studiów nad ludźmi. Tym należy chyba tłumaczyć środowisko „Domu nad łąkami", „Choucas" czy „Ścian świata". Pisarkę interesowała nie historia ani społeczeństwo ale życie ludzkie w jego przejawach psychologicznych w określonych warunkach. Człowiek jako produkt społeczeństwa, nie człowiek w społeczeństwie podlegał analizie pisarskiej. W umiejętności analizy charakteru ludzkiego, motywów postępowania, myślenia i odczuwania człowieka, w umiejętności odtwarzania tak zwanej filozofii określonego typu ludzkiego osiągnęła Nałkowska doskonałość. Trudno spotkać się w naszej prozie z równym kunsztem w malowaniu psychologii ludzkiej, trudno celniej nieraz w jednym zdaniu powiedzieć wszystko, co warto powiedzieć o danym człowieku. I tylko niekiedy jak na przykład w „Niecierpliwych" schodziła pisarka na manowce psychologizmu, gdy realistyczna obserwacja psychologiczna ustępowała miejsca z góry przyjętym założeniom teoretycznym.

W „Węzłach życia" po raz pierwszy u Nałkowskiej nie człowiek jako wytwór społeczeństwa, ale społeczeństwo i historia wysunęły się na plan pierwszy jej obserwacji. Tragedia narodu określiła hierarchię społeczeństwa i człowieka. Trzeba było znaleźć odpowiedzialnych za koszmar klęski wrześniowej. Z najgłębszej potrzeby pisarskiego sumienia zrodziła się wyrafinowana w swoim pozornym „obiektywizmie" satyryczna rewia ludzi ze świata tych, którzy uważali się za odpowiedzialnych „przed Bogiem i historią". Niesamowite w swej grozie motto z Jezierskiego zawisło nad wejściem do dyplomatycznych salonów ministra Becka, gdzie rautem czczono dostojnych gości z ościennego państwa. Zastosowana niegdyś przez Berenta w „Oziminie" a później przez Brezę w „Murach Jerycha" konstrukcja wielkiej rewii ludzi i postaw z racji reprezentacyjnego zebrania towarzyskiego posłużyła Nałkowskiej do odmalowania tego uroczystego tańca na wulkanie, jakim był dyplomatyczny raut sanacyjny w styczniu 1939 roku.

Gdyby „Węzły życia" były wyłącznie powieścią polityczną, tak jak „Mury Jerycha" były wyłącznie powieścią obyczajowo - moralną, mogłaby Nałkowska bez uciekania się do epickiej konstrukcji losów ludzkich przeciwstawić styczniowej maskaradzie wrześniowy wielki post, tak jak Breza obyczajowości i mo-

*) Zofia Nałkowska „Węzły życia", tom II, wyd. II, W-wa 1954 Czytelnik s. 139.

WOJCIECH NATANSON

„O sępie złowrogi!..."

Przeczytałem kiedyś recenzję Jacques Copeau z pewnej sztuki Bernsteina. Wydawało się, że jest to recenzja raczej przychylna, zastrzeżenia i uwagi krytyczne były tu owinięte w tak wielką ilość pozornie życzliwych komplementów! Jakież było moje zdziwienie, gdy w następnym numerze ukazał się list Bernsteina, stwierdzający, że Copeau przekroczył wszelkie granice krytyki, co zmusza dramaturga do zerwania z nim stosunków towarzyskich.

Rozśmieszyła nas wtedy owa chińszczyzna zawoalowanych starannie impertynencji i dziwacznie obłudnej atmosfery. Od tego czasu dużo się zmieniło nawet we Francji i w jej czasopismach. U nas krytyka teatralna jak najsłuszniej przyjmuje na siebie obowiązek szczerości. Kto chce pomóc wielkiej sprawie rozwoju naszej sztuki tetralnej nie może sądów swoich obwijać w bawełnę. Tak nakazuje obowiązek podwójny: wobec społeczeństwa i wobec samych aktorów. Kto zna ludzi teatru, wie że niewiele znaczące i banalne pochwały drażnią ich i przygnębiają o wiele bardziej niż surowe, ale uzasadnione sądy. Byleby owe oceny były naprawdę umotywowane, byle były poparte rzetelnymi argumentami, które mogą stanowić podstawę dyskusji. Chodzi o to, by słowa krytyki nie stanowiły tylko igraszki efektownych paradoksów czy ogólnikowych a bardzo apodyktycznych sformułowań. Oczywiście, że nie przemawiamy językiem idealnie ścisłym, matematycznym. I właśnie dlatego trzeba wciąż czujnie sprawdzać owe kryteria i narzędzie oceny, którymi posługuje się krytyka. Salwa, oddana ślepymi nabojami może wyrządzić wiele szkody teatralnemu organizmowi. I dlatego, choć nie jestem polemistą, chciałbym się dziś zająć pewnym wystąpieniem krytycznym, a mianowicie uwagami Krystyny Berwińskiej na temat przedstawienia „Dożywocia" fredrowskiego w Teatrze Śląskim. Artykuł ten wyszedł spod pióra pisarki utalentowanej i wartościowej, dotyczy zagadnień, które mają szersze znaczenie kulturalne; może więc stanowić podstawę ostrej, ale chyba nie pozbawionej pożytku dyskusji.

KILKA SŁÓW DLA PRZYPOMNIENIA

Krystyna Berwińska zamieściła w „Nowej Kulturze" z dnia 11 lipca br. artykuł o warszawskich występach Teatru Śląskiego im. St. Wyspiańskiego. Ogólny ton artykułu jest dla teatru życzliwy i zawiera entuzjastyczną ocenę ogólnego jego poziomu i osiągnięć. Mówiąc o „Zagładzie eskadry" chwali Berwińska wszystkich wymienionych przez siebie aktorów, nie różniczkując swych określeń. I jakby dla zrównoważenia tych pochwał, chcąc może dopomóc zespołowi śląskiemu także i słowami krytyki — bardzo surowo ocenia przedstawienia fredrowskie.

Jakiż jest najistotniejszy zarzut Berwińskiej w związku z przedstawieniem „Dożywocia"? Autorka formułuje go dość ogólnie. „Na przykładzie „Dożywocia" możemy postawić diagnozę ciężkiego schorzenia naszego teatru w ogóle: tą chorobą jest mieszczański styl inscenizacji i gry aktorskiej, styl wyrosły z konwencji mieszczańskiego dramatu i przyjęty przez nasz teatr za „prawdę w ogóle". Jeżeli reżyser i aktor chcą osiągnąć „prawdę", chcą odkonwencjalizować tekst autora, to z reguły niemal wpadają w taki szary mieszczański sos".

Oto założenie ogólne, w którym tkwi ziarno słuszności. Niestety, sama Berwińska wpada za chwilę w ową ogólnikowość, którą tak ostro wyrzuca naszym teatrom. Oceniając przedstawienie „Dożywocia" tworzy sobie recenzentka jakiś dość abstrakcyjny ideał „stylu fredrowskiego", zapominając, ze wielki nasz komediopisarz był żywym twórcą, niezwykle czułym na zjawiska swej epoki, wibrującym pod wpływem dokonywających się przemian społecznych, odbijającym je w swojej twórczości, szukającym i, znajdującym coraz to nowe rozwiązania artystyczne, coraz to nowy „styl", coraz to nową formę. Nie ma moim zdaniem jakiegoś abstrakcyjnego „stylu fredrowskiego". Nie osiągniemy żadnego pozytywnego rezultatu, jeśli takiego stylu szukać będziemy niezależnie od **konkretnych** komedii fredrowskich, od zawartych w nich myśli, od ich głębszej czy mniej głębokiej — problematyki. Do fałszywych rezultatów prowadziłoby zastosowanie tych samych, jak się mówi „środków wyrazu" przy wystawianiu dzieł tak różnych jak „Geldhab", „Mąż i żona", „Damy i huzary" i „Śluby", „Wielki człowiek" i „Pan Benet". Nieporozumienie, którego ofiarą padła Berwińska na tym więc przede wszystkim polega, że próbowała omawiać sprawę przedstawienia, nie zgłębiwszy stylu, problematyki i tematu samego „Dożywocia".

Pisząc o śląskim przedstawieniu pyta Berwińska „Czemu nie ma w nim fredrowskiego słońca, ciepła, wdzięku, humoru, fredrowskiej poezji?" Wydaje mi się, że te formuły (fredrowskie słońce, ciepło, humor, poezja etc.) również mało znaczą, co bliżej nie zdefiniowane pojęcie „mieszczańskiego stylu inscenizacyjnego". Zapewne chodziło tu autorce o dwie sprawy: pierwsza polega na tym, że nastrój przedstawienia powinien być weselszy i „cieplejszy", bardziej pogodny, druga wiąże się z zaliczeniem Fredry do pisarzy ukazujących przede wszystkim środowisko ziemiańskie, dalekich zatem od tego cośmy przywykli nazywać obyczajowością mieszczańską. Ale i w tak ujętej problematyce pełno nieporozumień. Co myśleć o tej szeroko omawianej „pogodzie" fredrowskiego „Dożywocia"? Zapewne nieświadomie powraca tu Berwińska do dawnych i zdawałoby się — już rozstrzygniętych sporów. W okresie międzywojennym dwaj krytycy, Lorentowicz i Boy, zarzucali Solskiemu, że jego Łatka nie jest dostatecznie komiczny i pogodny. Boy formułował to zastrzeżenie ostrożniej, atakując tylko słynny „przeszywający krzyk" Solskiego za sceną; Lorentowicz natomiast w postaci Łatki dostrzegał wyłącznie źródło beztroskiej zabawy, a wszelką problematykę społeczną uznawał za obciążający balast. W gruncie rzeczy realizacja postulatów Lorentowicza sprowadzałaby się do zubożenia utworu. Aktor, który w roli Łatki chciałby być tylko „zabawny" (i to „pogodnie" zabawny) musiałby błaznować, rolę swoją zapełniać gierkami, zrywać z zasadą prawdopodobieństwa, słowem: przestałby być żywym człowiekiem, który naprawdę do czegoś dąży, o coś się troszczy, o coś walczy. Przestałby być tym kombinatorem z galicyjskiego światka lat trzydziestych ubiegłego wieku, interesującym nas jako zjawisko społeczne związane ze sprawami swojego czasu, Łatką wyłudzającym dożywocia, prowadzącym spekulacje z Twardoszami, śmiało już wdzierającym się w środowisko podupadających, coraz bliższych ruinie, ziemian. Słowem taka interpretacja Łatki — godzi wyraźnie w jego człowieczeństwo.

W tym sporze, jaki dawna krytyka wiodła ze Solskim zwyciężył wielki aktor. Zwycięstwo to nie było przypadkowe. Sposób pojmowania roli przez Solskiego był trafniejszy, bliższy tekstowi, bliższy Fredrze, bliższy sprawom, o które chodziło w „Dożywociu". Dlatego ta właśnie interpretacja stała się twórczym źródłem naszej teatralnej tradycji. Bo teatr jest czułym instrumentem. Nie wymyślone i sprzeczne z realizmem dziwactwa, ale rozwiązania zgodne z logiką utrzymują się na stałe w inscenizacjach. Nie wytrzymało próby czasu pojmowanie Alcesta w „Mizantropie" jako budzącego tylko pusty śmiech wesołka. Trudno sobie wyobrazić, by na dłuższą metę ostało się takie pojmowanie Łatki, którego chce w imię „słońca, pogody i ciepła" — „oczyścić" z tragikomizmu.

Nie wolno zapominać, w jakich okolicznościach zostało napisane „Dożywocie", jaki nastrój przenika ostatnią z komedii fredrowskich, pisanych przed wielką przerwą rozgoryczonego milczenia. Całe życie Fredry było falowaniem „przypływów" i „odpływów", zmaganiem się woli twórczej z nastrojami przygnębienia i depresji. Głębokie nieporozumienia z rodziną i otoczeniem wywołane sprawą miłości do Zofii Skarbkowej spowodowały pierwszą przerwę pisarską. Jeszcze głębsze były przyczyny przerwy drugiej, kilkunastoletniej i jak się pierwotnie zdawało, ostatecznej. Nieporozumienia z krytyką wszelkich obozów literackich, rozgoryczenie wywołane faktem, że nikt z najbliższych nie wziął go w obronę przed bolesnymi zarzutami kosmopolityzmu i naśladowniczej banalności — stanowią tło owego rozgoryczenia. Oto nastrój, w którym powstawało „Dożywocie" napisane bezpośrednio przed „złamaniem pióra", w chwili gdy coraz jaśniej przez pisarza rozumiane sprzeczności wewnętrzne godziły w bliski mu świat pojęć obyczajowych. Inscenizator „Dożywocia", który by o tym wszystkim zapomniał, na pewno nie mógłby dobrze zainterpretować sensu tak mało pogodnych wypowiedzi autora „Dożywocia" jak np. ów słynny monolog „świecie, ty krętoszu stary". Bo dla Orgona, który tutaj przemawia myślami samego Fredry — cały świat przybiera po trosze oblicze „starego krętosza", a więc i tragikomicznego kombinatora Łatki.

I oto docieramy do źródła pięknej i ciekawej asocjacji metaforycznej, w której streściły się wrażenia recenzentki z tak surowo osądzonego przedstawienia. Berwińska pisze o początkowej scenie, „kiedy w mroku w wielkim czarnym kapeluszu Łatka miota się po zajeździe jak złowrogi sęp". Obraz „złowrogiego sępa" zaciążył na artykule, usunął na bok wszelkie inne wrażenia, wyssał niejako wszelką zdolność sprawiedliwego wycieniowania ocen. Temu „sępowi" — Łatce w interpretacji Gustawa Holoubka przeciwstawia autorka inne ujęcie roli: „Przed oczami staje wspaniała, arcybogata w pomysły kreacja Woszczerowicza. W tej mieniącej się jak kalejdoskop postaci było wszystko, były i momenty grozy, dominowała jednak nieprzeparta śmieszność, pocieszność, komizm". Nie widziałem Woszczerowicza w roli Łatki. Ale po pierwsze nie sądzę, by w teatrze naszym jeden sposób ujęcia roli miał prawo wyłączności, aby wykluczał jakiekolwiek inne. Po wtóre: znamy dobrze Woszczerowicza, wiemy jakie są najcenniejsze wartości ogromnego jego talentu. Mamy w świeżej pamięci jego Papkina. Czyż to był ów „ciepły", „pogodny" humor, o który zdaje się walczyć Berwińska? Papkina w ujęciu Woszczerowicza nazwano słusznie *poetą małości:* akcenty głębokiego współczucia, próba wyjaśnienia osobliwej papkinowskiej psychiki, tej nadwrażliwości słabeusza zmiennego jak żywe srebro, oto co mnie — i nie tylko mnie — zachwycało w owym Papkinie, co nam czyniło tę postać i ludzką, i ciekawą, i zaskakującą a zarazem bliską. Jeśli dziś wspomina się Łatkę Woszczerowicza jako ucieleśnienie tej tradycji, które chce widzieć w krętackim nabywcy dożywocia przede wszystkim źródło „komizmu i ciepła" (czyli antytragicznego łatwego komizmu), — śmiem przypuszczać, że na takim scharakteryzowaniu roli zaciążyło po trosze niedostateczne jeszcze w tamtym okresie przeniknięcie problematyki fredrowskiej i zbytnie uleganie sugestiom pobieżnie czytanych „Obrachunków" Boya.

Warto się przy tej sposobności

ralności ludzi z „Murów Jerycha“ przeciwstawia obyczajowość i moralność demokratycznej młodzieży z „Nieba i ziemi“. „Węzły życia“ miały być jednak realistyczną epopeją historyczną. W epice dialektyczna czy choćby pragmatyczna ciągłość losu ludzkiego musi być zachowana, zasada kompozycyjna przeciwstawień jednego układu wartości układowi wartości o znaku przeciwnym nie może obowiązywać a w każdym razie wystarczać. Tę ciągłość losu ludzkiego winna oczywiście wyznaczać obiektywna ciągłość procesu historycznego.

W pierwszej redakcji „Węzłów życia“ historycznej motywacji losu ludzkiego nie zdołała Nałkowska przeprowadzić konsekwentnie. Motywacja psychologiczna nie nakłada się w powieści na motywację historyczną, ale w wielu wypadkach autonomizuje się w dużym zakresie. Wysokolski z piłsudczyka starej daty staje się lekkomyślnym kochankiem masażystki, Oxeński z sanacyjnego prokuratora cierpiącym na omamy słuchowe życiowym emerytem, Sonka Wysokolska jest od początku do końca przewrażliwioną panną z dobrego domu, Edmund Oxeński z młodego człowieka z widokami na karierę rządową przeradza się w niezdecydowanego konkurenta do ręki dwóch panien. Logika indywidualnego losu ludzkiego przestaje być w powieści raz po raz związana z czasem historycznym. Pretensje krytyki pod adresem autorki „Węzłów życia“ nie były pozbawione słuszności. Realizm Czechowa i Tołstoja to dwa uprawnione ale całkowicie różne typy realizmu i szczęśliwie je skojarzyć w jednym utworze literackim nie jest zadaniem łatwym, jeśli w ogóle możliwym do rozwiązania. Realizm „Granicy“ i zamierzony realizm „Węzłów życia“ nie są także jednorodne.

Nowa redakcja powieści świadczy o ujednoliceniu artystycznej zasady odtwarzania rzeczywistości. „Węzły życia“ są teraz konsekwentnie epicką powieścią polityczną. Romans dziadunia Wysokolskiego przestaje mieć jedynie walor trafnie, psychologicznie i obyczajowo podpatrzonego obrazka z życia sfer sanacyjnych, skoro się okaże, że jego wybranka była narzeczoną zabitego w roku 1920 młodziutkiego syna profesora Dzianwy. Co za okrutny temat do rozważań dla profesora, który pisał przecież filozoficzne dzieło „Koincydencja albo zbieg okoliczności“. Ileż jest w tym pozornie formalnym skojarzeniu dwóch motywów fabularnych gorzkiej ironii przenikliwego historiozofa? Sprawę Wysokolskiego osądza Nałkowska jeszcze i na płaszczyźnie czysto politycznej. Ten w sensie politycznym subiektywnie uczciwy bo naiwny stary ramol legionowy popełni we wrześniu samobójstwo.

Wszystkie indywidualne perypetie życiowe bohaterów nabiorą w nowej redakcji „Węzłów życia“ znaczenia wyraźnie politycznego. Przy konfrontacji obydwu redakcji powieści trudno oprzeć się wrażeniu, że autorka, która najpierw zaobserwowała znamienne przejawy życia i z uczciwością prawdziwego artysty je odtworzyła, uświadomiła sobie jak gdyby przy nowym na nie spojrzeniu ich źródła, przyczyny i konsekwencje. W starych „Węzłach życia“ pisarka widzi a nie potrafi jeszcze objaśnić, w nowych widzi i interpretuje. Dlatego Nałkowska nic właściwie poza drobiazgami ze starego tekstu nie wyrzuciła, bo wszystko w nim było prawdą widzianą, w nowym zaś stało się prawdą także rozumianą.

Gryzła się Sonka Wysokolska jakąś wewnętrzną niemożnością przystania na świat, uciekała gnana jakąś nieokreśloną potrzebą ucieczki od rodziców, których kochała, od konkurentów, których nie potrafiła kochać i jej rozterka była tyle bolesna co niewytłumaczalna. W nowych „Węzłach“ sama Sonka jakoś bardziej rozumie swój konflikt ze światem, z młodzieńczą wrażliwością burzy się przeciwko fałszowi, w którym grzęźnie jej otoczenie i jej cierpienie ma ściśle historyczne nie ogólnoludzkie podłoże. Wrzesień nauczy ją jeszcze głębiej rozumieć i sądzić świat, aczkolwiek przeżyje go ze zdumieniem straszliwym tych, którzy nie przewidywali.

Antoni Oxeński kończył absolutną kapitulacją wobec życia, fizyczną, psychiczną i moralną. Przyczyny jego klęski życiowej tłumaczyły się w systemie ogólnie materialnych uwarunkowań, w historycznym i politycznym kontekście powieści o klęsce narodu, były nie dość konkretne i znaczące. W nowej redakcji klęskę Oxeńskiego rozumie się w pełni. Jest to klęska człowieka wrażliwego i słabego jednocześnie, któremu przyszło wbrew swej naturze maczać palce w zbrodniach faszystowskiej sprawiedliwości. Lęk przed odpowiedzialnością moralną, lęk człowieka, który działał przeciwko ludziom bez żadnych moralnych racji ludzkich, jest treścią przegranej Oxeńskiego. Pustka zupełna, brak nawet pozornych sankcji dla walki w obronie tego co jest — to istota postawy z przekonania czy obiektywnie faszysty. Oxeński był faszystą obiektywnie, stąd jego rozbicie wewnętrzne.

Polemikę z faszyzmem szczególnie w wydaniu piłsudczykowskim przeprowadza Nałkowska nader wszechstronnie, ukazując jego tragiczne konsekwencje dla narodu i jednostki. I nie ma w tej polemice nawet śladu ułatwień i uproszczeń. Nałkowska bierze pod uwagę nie oczywiste negatywy, ale wszelkie możliwe pozytywy i wykazuje ich pozorność i nieważność. Śród nielicznych skreśleń pierwszej redakcji znalazł się krótki passus, w którym z rozmowy bohaterów wynikało, że „dziadek“ był człowiekiem nienormalnym. Aczkolwiek nie byłoby to sprzeczne z prawdą, autorka uznała zbędność takiego argumentu polemicznego. Trafniej kompromitują myśl polityczną komendanta cytaty z jego „Pism zbiorowych“. Zasada polemiki jak najbardziej lojalnej — to świadoma zasada twórcza Nałkowskiej „Trzeba rozumieć słuszność innych — pisze autorka w „Węzłach życia“ — nawet gdy jej nie mają. Inaczej nie można ich zwalczać“.

Zasygnalizowanie najważniejszych zmian, które przynosi poprawiona redakcja „Węzłów życia“ jest jedynie krytycznym minimum. Trzeba by nowe „Węzły życia“ widzieć nie z punktu widzenia wprowadzonych poprawek, ale w całości skończonego dzieła sztuki. Dostrzegłoby się wtedy nie tylko nową myśl Nałkowskiej ale i jej stary dojrzały kunszt pisarski, jej umiejętność widzenia świata w jego niezmierzonej różnorodności, bogactwie i przemienności. Temat to jednak do obszerniejszej i bardziej zasadniczej pracy krytycznej.

Henryk Bereza

---

zastanowić nad sprawą tej „mieszczańskości“, którą Berwińska wysuwa jako drugi zarzut przeciw inscenizacji „Dożywocia“. Dziwnie trochę wygląda ten zarzut w związku z komedią, której cała akcja toczy się w miejskim hotelu, której problematyka polega na matrymonialnym handlu córką jak w „Kontrakcie małżeńskim“ Balzaka. Analizując przy innej okazji tekst „Dożywocia“ doszedłem do wniosku, że z pochodzenia zapewne i Łatka i Twardosz są dorabiającymi się drobnymi szlachcicami, a nie mieszczanami. Inaczej byłoby małżeństwo Rózi z Łatką wyraźnym mezaliansem jak niegdyś sprawa Flory Geldhabównej, a o tym mezaliansie nie ma tu ani słowa, Rózia broniąc się przeciw niemu wysuwa zarzuty zgoła innej, moralnej natury. Niemniej zaprzeczyć trudno, że ta komedia Fredry ukazuje ciekawe procesy przenikania obyczajowości miejskiej w środowisko Orgonów i Birbanckich i kształtowania się swoistego galicyjskiego „ciułactwa“. A jeśli tak — trudno zarzucać mieszczańskość utworowi, w którym mieszczańska właśnie obyczajowość triumfuje, podobnie jak maniera „kupca pierwszej gildy“ niemal w tym samym czasie triumfuje w arystokratycznym środowisku „Fantazego“. A jeśli chodziło recenzentce nie o środowisko, ale o typ interpretacji — to właśnie ów obraz groźnego sępa unoszącego się ponad sztuką ukazuje drogę przezwyciężania upartych teatralnych konwenansów i powinien był Berwińskiej w myśl własnych jej pojęć estetycznych — przypaść do gustu, zamiast wywoływać protesty. Ale w ferworze krytycznym nie zawsze się dba o konsekwencję.

Myślę zresztą, że nad tą recenzją — jak i nad wielu innymi zaciążył jeszcze jeden grzech: ulotność wrażeń. Oto na przykład Berwińska próbując ująć swe sądy w jakieś charakteryzujące formuły, przywołuje skojarzenia „bytowej“ komedii Ostrowskiego z elementami tragifarsy, dodając równocześnie: „tragi“ obciąża przede wszystkim konto Łatki, a „farsa“ braci Łagenów. Otóż bracia Lagenowie (nie Łagenowie), to w samym tekście fredrowskim, obok doktora Hugo, element już, nawet i z pochodzenia, najwyraźniej mieszczański. Samo słowo Lagena zaczerpnięte jest z lwowskiego narzecza podmiejskiego i znaczy tyle co sałanduła, niedołęga. Przytem Fredro najwyraźniej tu chciał wprowadzić pewien element buffonady na wzór starej komedii włoskiej, która go stale interesowała. Wydaje mi się, że Florian Drobnik jako jeden z Lagenów ciekawie uchwycił ten właśnie typ komizmu, o który poecie chodziło. I nie sądzę, by można było mieszać ten rodzaj z nieprecyzyjnie tu przez Berwińską użytym terminem „farsy“.

Nie jest słusznym zdanie, że śląskie „Dożywocie“ było pozbawione wesołości i komizmu. Można by wyliczyć sporo momentów, w których głębiej pojęty komizm osiąga sukcesy: na przykład sceny targów, w których gwałtowna aktywność Łatki odbija się jak od skały o niewzruszoność Twardosza — świetnie grającego tę rolę Romana Hierowskiego. Albo: owo wręcz wirtuozeryjne wydobycie zabawności sceny, w której Łatka zamknąwszy Rózię razem z Birbanckim, przeżywa wewnętrzne rozdarcie sprzecznych uczuć. Albo wreszcie: ów deszcz papierków, które rozwija Łatka ofiarowując Rózi pierścionek, przy czym gesty harmonizują z doskonale wyczutym rytmem wiersza.

Pewno, że można by o niejeden szczegół wieść spory, co do niejednego problemu toczyć dyskusję. Wydaje mi się jednak, że w ogólnym rozrachunku trzeba uznać śląskie „Dożywocie“ za piękne osiągnięcie teatralne. Przedstawienie to, utrzymujące się od kilku lat w repertuarze teatru im. Wyspiańskiego w Stalinogrodzie ma za sobą głosy wielu setek tysięcy chłonnych poezji widzów śląskich. Dobrze, że zobaczyła je także, że się nim uradowała Warszawa.

Wojciech Natanson

Wielka szansa

(Dokończenie ze str. 2)

kunastoletnie dziewczyny leżąc w pościeli odbywają lekcję języka rosyjskiego z nauczycielką, która odziana w biały fartuch spaceruje po izolatce.

„Świeciło oślepiające słońce. Ścieżka wiodła na szczyt...“ — tłumaczy z „Ogonioka“ Marysia. Urywa i przenosi spojrzenie na okno. Za oknem śnieg. Wąską dróżką od pawilonu drepce ciepło ubrany chłopaczek z niebieską kopertą w ręku. Niesie list „na pocztę“. To znaczy do skrzynki wiszącej przy drzwiach portierni.

Kiedyż to ona, Marysia, będzie mogła o własnych siłach pójść na pocztę? O, o chłopczyk podskoczył, biegnie...

Na „Ogoniok“, na „oślepiające słońce“ zaczynają spadać wielkie łzy.

Nauczycielka udając, że tego nie widzi, przemawia z uznaniem:

— Zrobiłaś, Marysiu, wielkie postępy. W twojej szkole we wsi zadziwisz koleżanki. Umiesz znacznie więcej niż jeszcze miesiąc temu.

Łzy obsychają.

Marysia się ożywia. Och, ona jest w sanatorium po raz drugi. Pierwszy raz była tu dwa lata temu, i wyszła prawie zdrowa. Wtedy pan doktor kazał jej uważać na siebie. A w domu zaraz zapędzili do roboty w polu. Przyszły żniwa. Całe lato robiła przy snopkach. Siostry mówiły, że słońce wyciągnie z niej resztki choroby. I jednej nocy przyszedł krwotok. Od tego czasu leży już bez przerwy.

Ze szczupłą, śniadą Zosią była inna historia. W domu wiedzieli, że jest chora. Ale ukrywali to, wstydzili się przyznać przed sąsiadami. Bo do starszej siostry przychodził w konkury bogaty chłopak. Więc bali się w domu, że jak się dowie, to chodzić przestanie. Chłopak ożenił się z siostrą i dopiero wtedy rodzice odwieźli Zosię do szpitala — a szpital wysłał ją do sanatorium.

— Mnie się tu podoba — kończy Zosia śmiejąc się. — W domu to tylko ganiali mnie do roboty. Nawet poczytać książki nie było czasu. Mnie się nawet wracać nie śpieszy.

Marysia urażona odwraca głowę. Nie chce tego słuchać. Ona tęskni za tym domem, który ją, czternastoletnią, wysłał we żniwa do roboty, aż upadła przy niej i od tego czasu wstać nie ma siły.

Stan obydwóch izolatek — tak jak wszystkich izolatek — jest beznadziejny. Zgłoszone wcześniej, byłyby uratowane. Teraz jest za późno. Jednakże będą miały niezmiernie troskliwą opiekę i jabłka, i książki, i lekcje, ażeby tylko nie rozmyślały o tym, o czym przestać myśleć nie potrafią. Aż pewnego dnia przyjdzie krwotok i porwie ze sobą tę „ośnieżoną ścieżkę wiodącą na szczyt“ i to „oślepiające słońce“...

II

Oddział meningitów obejmuje sto łóżek. Chorzy tutaj leżą całymi latami. Dr. Bogusław Halikowski, który ma własną metodę leczenia meningitów dającą dobre wyniki i jego starszy asystent dr Krystyna Plebańczyk mogą z dumą pokazać wyleczone na tym oddziale przypadki. Ten chłopiec, który na nasze wejście daje susa pod kołdrę i stamtąd wysyła porozumiewawcze znaki w stronę lekarki, dwa lata temu był w stanie beznadziejnym. Teraz jest najpilniejszym czytelnikiem biblioteki na oddziele.

W korytarzu trafiam na leżący na szpitalnym wózku kształt, którego nie można nazwać już dzieckiem. Została z niego maleńka, ptasia główka, wyschnięty kadłubek. Ludzki jest tylko puch jasnych włosów i umęczony straszliwie wyraz twarzyczki.

W udzie, w głębokiej szramie, która wygląda jak rozdarcie, tkwi igła od kroplówki. Dziewczynka jest pogrążona w głębokiej nocy. Jedyne co jeszcze z życiem ją wiąże to ból.

Kto zawinił, maleńka, że leżysz tutaj jako żałosny, bezsilny szczątek zamiast z kokardą w jasnych włosach biegać za piłką w parku? Lekkomyślna matka? Niedbały ojciec? Czy ktoś obcy, jak ten stolarz, który przyszedł naprawić łóżeczko Kubie i wyszedł zostawiając mu gruźlicę? Ktoś lekkomyślny do granic zbrodni.

III

Przechodzę z oddziału na oddział. Zdumiewa mnie to, z czego dotychczas mgliście zdawałam sobie sprawę. Ta młodzież chora, ci wszyscy pacjenci i pacjentki naprawdę się uczą. Przechodzą normalne stopnie szkolne, opanowują pamięciowo wymagany przez programy zakres wiedzy. Odrabiają lekcje, mają swe zajęcia pozaszkolne. Grupa wychowawców świetlicowych kieruje zajęciami młodszych dzieci. A przy tym wszyscy oni podlegają skrupulatnemu leczeniu. Oprowadzająca mnie pielęgniarka cytuje liczby, z których niektóre tylko zdołałam pochwycić. Oto w 53 roku przeszło przez sanatorium 170 dzieci z poprawą tak dalece posuniętą, że sanatorium nie było już im potrzebne. Dokonano około 20 tys. badań rentgenologicznych, a około 32 tys. analiz, 43 tys. drobnych zabiegów leczniczych i ponad 3,5 tys. dużych zabiegów.

Przechodzimy przez coraz to inne sale, a wszystkie takie jasne, śliczne, przytulne, że lżej się w nich oddycha. Jak na taśmie przepływają nowe twarze — dzieci, dziewcząt i chłopców. Dziewcząt jest więcej. Jest ich tak dużo, że ołówek opiera się temu atakowi faktów, by ostatecznie zmieścić je w jednym zdaniu jak w jednym okrzyku:

„Dziewczęta dzielą się na prątkujące i nieprątkujące“.

IV

I naraz po tym napięciu całkowite odprężenie. Ulga taka, że można już tylko śmiać się i skakać. W jasnej, dużej sali gromada przedszkolaków bawi się znakomicie. Zgrzytają nakręcane auta, podskakują piłki, z klocków buduje się imponujący wieżowiec, w drugim kącie sali przystrojona w fantazyjne czapeczki gromadka urządza maskaradowy pochód. I tak już będzie w każdym pawilonie przedszkolaków. Rozwiewa się wrażenie, że jesteśmy w domu naznaczonym piętnem choroby. Tym światkiem rządzą inne prawa. Tu jest jak w jednej rodzince. Hałaśliwej i pełnej nieposkromionej żądzy zabawy.

Staję przed wiszącą na ścianie „Listą dobrego jedzenia“. Tu, dzięki umownemu systemowi obrazeczków i kolorów, widać jasno, jak na dłoni, kto zmiata wszystko z talerza, a kto marudzi. Czynią to same dzieci. Samokrytyka ma piękne pole do popisu. W traktowaniu arcyważnego problemu dzieci wykazują sumienność i rzetelność, jaką mogliby się poszczycić dorośli.

Udaje mi się zerknąć do kącika przyrodniczego, gdzie mała gromadka ze skupionymi minami dokonuje niesłychanie ważnej czynności karmienia rybek w akwarium. Najstarszy siedmioletni Henio stoi z boku i z namarszczoną brwią przypatruje się karmieniu, jak gdyby nosił się z zamiarem wygotowania rybkom „listy dobrego jedzenia“. W przyległej łazience pięcio i sześcioletnie gospodynie ciężko pracują. Pranie sukienek dla lalek. W robocie jest wyżymaczka i pralka. Jedna z dziewczynek kręci korbą, druga podsuwa koszulki pod wałek, trzecia już rozwiesza.

A Władek i Wisia błagalnym szeptem proszą o coś siostrę oddziałową. Widać, uzyskali zgodę, bo z przejęciem wkładają ciepłe ubrania i buciki. Władek ukrywa coś pod płaszczykiem. Wychodzę za nimi. Po drodze mijamy gromadę chłopców. Pod przewodnictwem wychowawcy lepią bałwany. Wychowawca upomina szczupłego chłopczyka: Tak dużej kuli nie wolno mu dźwigać. Inaczej będzie znowu temperatura. Chłopczyk zesmutniał, ale zaraz odzyskał fantazję. Zamiast toczyć kulę na bałwankowe korpusy będzie im robił twarze.

Władek i Wisia trafiają w drzwi niskiego budynku gospodarczego. To warsztat ślusarski i stolarnia. Tutaj króluje mistrz: przodownik Aleksander Ryski.

Władek uchyla płaszcza i wyjmuje połamany drewniany wózeczek. Podnosi trwożny i błagalny wzrok na zafrasowaną twarz mistrza Aleksandra. Nie ma obawy! Zabawka zaraz powędruje na warsztat. W koszu piętrzy się cały stos już gotowych do odebrania. A dwa razy tyle czeka na naprawę. Przodownik Ryski nie może wszystkim zapotrzebowaniom podołać. Oprócz zabawek psują się przecież także i krzesełka i stoliczki — ruch w warsztacie jest nieustanny.

Wychodzimy na śnieg. Mijamy dużą, jeszcze nieukończoną werandę. Niedługo dzieci będą mogły na niej leżakować. Rychło powstanie druga taka. I tak stale słyszy się tutaj o planach rozbudowy. A więc najstarszy pawilon zbudowany jeszcze przed wojną zostanie podniesiony, będzie mu przydane piętro. Bo obecnych czterdzieści pawilonów mieszkalnych nie wystarcza. Pod naporem zgłoszeń żądających łóżek dla chorych powstaną nowe pawilony. Zasięg sanatorium stale wzrasta. A jeszcze ma powstać dla uciechy młodocianych pacjentów mały ogród zoologiczny. Teren pod niego już przygotowany.

V

I oto jestem znowu w baraku obserwacyjnym D dla niemowląt, z którego początek wzięła moja wędrówka. Znów te same jak wszędzie idealnie czyste i gładkie korytarze, szmaragdowy kolor ścian, bo taki podobno najbardziej kojąco wpływa na wrażliwość pacjenta. Po obu stronach korytarza kabinki po dwa łóżeczka. W nich ci najmniejsi. Ubrani w pidżamki siedzą. Czasami bardzo krzyczą, albo płaczą. — To ci, jeszcze nie przyzwyczajeni — objaśnia mnie pielęgniarka.

Im dłużej przypatruję się życiu w pawilonie niemowląt, tym jaśniej widzę to, co mnie uderzyło, gdy odbierałam Kubę. Niemowlętom nie dzieje się najlepiej. Mają doskonałą opiekę lekarską, lecz niewystarczającą opiekę pielęgniarską. Bo tych pielęgniarek jest za mało. Bo jedna pielęgniarka przypadająca na dziesięcioro niemowląt może podołać tylko najważniejszym, elementarnym potrzebom dziecka. A więc — nakarmić pięć razy dziennie niemowlę, przewinąć, wysadzić na nocniczek, wykąpać, ułożyć do werandowania. O troskliwszej, czulszej opiece, która by uwzględniła indywidualne potrzeby każdego malutkiego dziecka nie ma mowy, Ilość pielęgniarek pediatryczek pozostaje w rażącej sprzeczności z potrzebami sanatorium. I tego braku nie zastąpi ani sumienność i wielkie oddanie sprawie doktór H. Korniłowicz specjalisty - pediatry, czy dr H. Krukowskiej, czy zapał i serdeczne podejście do niemowląt dr Marii Janiszewskiej.

Jest trzysta łóżek dzieci do lat trzech. Trzysta dzieci! Najmłodszy z pacjentów ma pięć miesięcy. Jakąż ilością czułych, troskliwych rąk pielęgniarek - pediatryczek powinno dysponować sanatorium, ażeby wszystkim potrzebom dziecka — tego opuszczonego, bezradnie skulonego na łóżeczku, czepiającego się siatki, płaczącego — podołać?

Te pediatryczki pielęgniarki, które są i tak tylko z wielkim trudem dźwigają przyjęty na siebie obowiązek. I jeszcze raz powtórzę — bo jest ich rozpaczliwie za mało. Dlaczego? Przecież nasze szkoły pielęgniarskie imponująco rozbudowane po wojnie wypuszczają co rok dziesiątki nowych pielęgniarek. Przecież zdolniejsze i sumienniejsze salowe czy piastunki po ukończonym przeszkoleniu zostają młodszymi pielęgniarkami.

A więc: po pierwsze dlatego, że istnieje olbrzymie zapotrzebowanie na pielęgniarki - pediatryczki z powodu rozbudowanej opieki profilaktycznej i leczniczej nad dziećmi, a po drugie dlatego, że zawód ten zdobył sobie opinię jednego z najsłabiej płatnych. Dziewczęta, które początkowo garnęły się do niego, teraz uciekają od czepka.

Ministerstwo Zdrowia wiedząc ile absolwentek wyjdzie ze szkół, planuje dla nich przydziały pracy. Pięknie. Dajmy na to, że ilość pokrywa się z zapotrzebowaniem. Ale pielęgniarka zniechęcona trudami zawodu i niewspółmiernym do nich wynagrodzeniem czeka tylko, żeby dostać dyscyplinarkę i zmienić fach. Ogromne sumy, które państwo włożyło w szkoły, stypendia, możność praktyki dla pielęgniarek, nie dają spodziewanego efektu. Z zaplanowanej liczby pielęgniarek ostaje się zaledwie jej część. Po cóż pracować za 540 zł., skoro w spółdzielni, w MHD, na budowie, w przemyśle zarobić można dwa albo trzy razy tyle?

Byłby już najwyższy czas ażeby Ministerstwo Zdrowia uchwaliło i wprowadziło w życie dodatek dla kwalifikowanych pielęgniarek - pediatryczek, w ten konkretny sposób dając wyraz uznania dla ich trudnej i niezbędnej pracy.

VI

Wiem, że pisząc o sanatorium im. Marchlewskiego w Otwocku nie podołałam zadaniu ukazania ogromu pracy zespołu lekarskiego i pielęgniarskiego, administracyjnego i gospodarczego; tych wszystkich ludzi zjednoczonych w wysiłku stworzenia jak najlepszych warunków dla chorego dziecka. Każde, chwilowe zapomniane nazwisko odzywa się wyrzutem. Jakże tu nie wspomnieć o ob. Leokadii Ulich, kierowniczce kuchni, która samorzutnie podjęła zobowiązanie i wykonała je — wraz z personelem kuchenym — zrobienia dwunastu tysięcy weków z przetworami, żeby dzieci miały w zimie kompoty, powidła, konfitury? Czy o kierowniku zakładów gospodarczych, przodowniku Stanisławie Klasie?

Wracając do nazwisk lekarzy, jak nie powiedzieć o ofiarnym rentgenologu dr. Jadwidze Magnuszewskiej czy dr Annie Paszkowskiej od gruźlicy otwartej? A czy można zapomnieć przełożonej pielęgniarki, Marii Śnieżko?

Takich nazwisk jest więcej. Walka z gruźlicą dziecięcą trwa. Odbywa się w zamkniętych ścianach pawilonów przy wytężonym wysiłku setek ludzi najlepszej woli, wiedzy i ofiarności. Jeśli nie podołałam zadaniu ukazania tego, to stało się tak zapewne i dlatego, że nie jest rzeczą łatwą pisać reportaż o cierpieniu.

Natalia Rolleczek

Nowe książki

„Z rosyjskiego“ — trzy nowowydane tomy tłumaczeń Juliana Tuwima (PIW, 1954) dają pełny obraz pracy wielkiego poety nad przyswojeniem literaturze polskiej najcelniejszych utworów pisarzy rosyjskich i radzieckich. Seweryn Pollak — autor przedmowy podkreśla różnorodność i niebywałą skalę zainteresowań poety, zawartą w odległych granicach czasu, dzielących „Słowo o wyprawie Igora“ od utworów współczesnych poetów radzieckich, każe ocenić czytelnikowi ogrom trudu związany z gruntownymi studiami leksykalnymi, studiami nad epoką i jej stylem. Tuwim — największy i najbardziej konsekwentny popularyzator literatury rosyjskiej w Polsce — prowadził swą pracę od r. 1912 do końca życia. W tym czasie zmieniały się poglądy Tuwima na literaturę, a w związku z tym stosunek do pracy przekładowej. Dowodem ciągle żywej pasji tłumacza jest przede wszystkim powtórny przekład „Słowa o wyprawie Igora“ dokonany w r. 1950. Trzy tomy w wydaniu PIW — to owoc wieloletniej pracy poety, pracy stale kontrolowanej i udoskonalanej. Co znajdziemy wśród tych przekładów? Zajrzyjmy do spisu treści.

A więc tom I — „Słowo o wyprawie Igora“, wiersze Puszkina, Lermontowa, Łomonosowa, Tiutczewa, A. Tołstoja, Gorkiego, Balmonta, Błoka, B. Pasternaka, Rylskiego, Twardowskiego i innych.

Tom II wypełniają fragmenty z Niekrasowa „Komu się na Rusi dobrze dzieje“. W tomie III zaś zamieszczono dramat i prozę: „Mądremu biada“ Gribojedowa, z Gogola — „Ożenek“, „Rewizor“, „Nos“, „Opowieść o kapitanie Kopiejkinie“ i fragment „Martwych dusz“ — dalej fragmenty — „Mańkuta“ i „Balwierza - artystę“ Leskowa oraz „Las szumi“ Korolenki.

Pomocą w lekturze są krótkie, zwięzłe informacje redakcji o pisarzach.

„Komu się na Rusi dobrze dzieje“ — niezależnie od fragmentów zawartych w drugim tomie — ukazało się w tym samym tłumaczeniu i w całości nakładem „Książki i Wiedzy“. Wstęp Samuela Fiszmana wprowadza czytelnika w ówczesną atmosferę literacką — okres zmierzchu epigonów romantyzmu i dominującej roli „szkoły naturalnej“ z jej wybitnym przedstawicielem — Niekrasowem, poetą, który pragnął stworzyć literaturę nie tylko o ludzie ale i dla ludu. Autor wstępu zwraca także uwagę na zawarte w twórczości Niekrasowa tony protestu przeciw bezprawiu carskiemu w Polsce.

Posiadacze pierwszej części Antologii dramatu rosyjskiego (pomyślanej jako wydanie czterotomowe) doczekali się wreszcie tomu następnego, pt. „Od Turgieniewa do Gorkiego“. Tłumaczami są najlepsi u nas znawcy literatury rosyjskiej i teatru. Prześledzimy kolejno zawartość tego tomu. „Miesiąc na wsi“ Turgieniewa w przekładzie i z przedmową Pawła Hertza, dwa dramaty Lwa Tołstoja przetłumaczone przez Jerzego Pomianowskiego: „Żywy trup“ i „Płody edukacji“ z uwagami wstępnymi pióra tłumacza, „Wesele Kreczyńskiego“ Aleksandra Suchowo - Kobylina w przekładzie Czesława Jastrzębca - Kozłowskiego z komentarzem Leona Gomolickiego. W czasy Czechowa i problematykę jego twórczości wprowadza czytelnika Seweryn Pollak. Tom zawiera dramaty: „Czajka“ i „Wujaszek Wania“ — w tłumaczeniu Artura Sandauera oraz „Wiśniowy sad“ przełożony przez T. Łopalewskiego. O Maksymie Gorkim pisze Barbara Rafałowska. Wybór przedstawia się następująco: „Mieszczanie“ — przekład P. Hertza i S. Pollaka, „Na dnie“ — Anny Kamieńskiej i Jana Śpiewaka, „Letnicy“ M. Zagórskiej, „Wrogowie“ — tłumaczenie Andrzeja Stawara, „Barbarzyńcy“ — Marii Zagórskiej — oraz „Jegor Bułyczow i inni“ w przekładzie S. T. Brucza i St. R. Dobrowolskiego.

Czytelnikom, których nie zadowolił wybór dramatów Czechowa w omawianej antologii przypominamy, że pod koniec ubiegłego roku, a praktycznie w sprzedaży w miesiącach zimowych roku 1954 ukazały się dwa tomy „Utworów dramatycznych“ Czechowa (PIW) w przekładzie Artura Sandauera. Są tu i krótkie jednoaktówki, monologi, i duże utwory sceniczne. Wydanie to nie ma żadnej przedmowy. Nota redakcyjna zawierająca dane bibliograficzne oraz informacje, dotyczące sztuk Czechowa na scenach polskich — na pewno tej luki nie wypełni.

Pisma Konstantego Stanisławskiego, które obejmą wszystkie jego ważniejsze prace, pomyślane są jako wydanie czterotomowe. Dotychczas ukazały się trzy pierwsze: „Moje życie w sztuce“ (PIW, 1954), „Praca aktora nad sobą w twórczym procesie przeżywania“ i „Praca aktora nad sobą w twórczym procesie realizacji scenicznej“. Na tom czwarty złożą się: „Praca aktora nad rolą“, „Etyka“ i drobniejsze prace z tomu „Artykuły przemówienia — rozmowy — listy“. Przewidziane jest także wydanie materiałów uzupełniających, które pomogą czytelnikom, a przede wszystkim najbardziej zainteresowanym ludziom teatru, zrozumieć „system Stanisławskiego“. Wśród tych materiałów będą książki Gorczakowa, Toporkowa, Ałbałkina.

PIW-owskie wydanie pism Stanisławskiego jest wydaniem popularnym, wzorowanym na podobnych wydaniach radzieckich; zawiera przypisy i słownik ułatwiający lekturę ludziom spoza kręgu ściśle specjalistycznego. Równocześnie jednak wymaga już pewnego choćby najbardziej ogólnego przygotowania i nie jest przeznaczone dla zupełnie surowego czytelnika. Przekład dzieła Stanisławskiego zawdzięczamy Zofii Petersowej. Wstępem do tego wydania jest obszerna rozprawa Henryka Szletyńskiego „Konstanty Stanisławski i jego działalność“, która pozwoli zorientować się czytelnikowi w sprawach teatru rosyjskiego przed wystąpieniem Stanisławskiego, zapozna z biografią i pracą tego wielkiego artysty, działacza, reformatora i prawodawcy teatru. Bardzo interesujące są uwagi Szletyńskiego na temat wpływu Stanisławskiego na teatr polski.

Dział literatury pięknej „Książki i Wiedzy“ jako jedną ze swoich ostatnich pozycji wydał „Wybór pism“ Mikołaja Gogola z popularnym wstępem Natalii Modzelewskiej, będącym pomocą nawet dla czytelnika zupełnie nie wprowadzonego w zagadnienie literackie.

Jakie dzieła znajdziemy w tym wyborze? „Wieczory na futorze niedaleko Dikańki“, „Mirgorod“, sześć opowieści, komedie „Rewizor“ i „Ożenek“ oraz „Martwe dusze“. A oto nazwiska tłumaczy: Władysław Broniewski, Jerzy Brzęczkowski, Julian Tuwim, Jerzy Wyszomirski. Atrakcyjność tomów podnoszą ilustracje H. Grunwalda. Używając fachowego określenia wydawców powiemy, że „jednotomowiec“ Gogola ma wszystkie wady i zalety tego rodzaju edycji. Do plusów zaliczamy przede wszystkim ładną szatę zewnętrzną książki i niską stosunkowo cenę (35 zł). Minusy znane są wszystkim czytelnikom posługującym się tymi wydaniami: niewygodny, nieporęczny format i dwuszpaltowy druk, męczący przy dłuższym czytaniu. No i najbardziej zasadnicza sprawa do dyskusji — celowość wyborów z tak znanych i poczytnych pisarzy — wyborów, które ograniczają się z konieczności do dzieł najbardziej popularnych.

K. Nast.

CZYTELNIK

KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY

KAZIMIERZ DĘBNICKI
TRUDNE SZCZĘŚCIE
Powieść
Str. 296 zł 10,—

JÓZEF JANIK
SPRAWA HONORU
Ilustr. J. Czerwiński
Opowiadania z życia młodych górników
Str. 116 zł 4,—

IGOR NEWERLY
ARCHIPELAG LUDZI ODZYSKANYCH
Ilustr. I. Kuczborska
Wydanie siódme
Str. 308 zł 12,—

IGOR NEWERLY
CHŁOPIEC Z SALSKICH STEPÓW
Wydanie siódme
Str. 164 zł 4,50

MICHAŁ SUMIŃSKI
ZNAD JEZIOR
Opowiadania mazurskie
Ilustr. H. Chrostowska-Piotrowicz
Str. 192 zł 6,50

HENRYK SYSKA
KURPIK SIEDZI W LESIE
Gawędy z przeszłości ziemi kurpiowskiej
Ilustr. A. Heindrich
Str. 182 zł 6,—

JAN ŻABIŃSKI
KOMPLIKACJE RODZINNE
Opowiadania o zwierzętach
Ilustr. B. Jarzewski
Str. 152 zł 7,—

„CZYTELNIK“
K 6496-1

MAJAKOWSKI

Misterium-Buffo

„Misterium-buffo" powstało w lecie r. 1918. Wystawiono je po raz pierwszy w Piotrogrodzie 7 listopada 1918 r. w rocznicę Rewolucji Październikowej. Bojkot sztuki przez doświadczonych aktorów, bądź wyraźnie nastawionych wówczas reakcyjnie, bądź niezdecydowanych jeszcze w swym stosunku do przewrotu lub zgorszonych śmiałością Majakowskiego, z jaką przedstawili zagładę starego świata kapitalistycznego i zwycięstwo proletariatu, zmusił autora do korzystania przy realizacji „Miserium" ze słabych sił estradowych. Próby poprzedzające przedstawienie trwały zaledwie miesiąc, gdyż tyle czasu pozostawało do rocznicy. Nic dziwnego, że sztuka w tych warunkach nie mogła wywołać na scenie takiego wrażenia, z jakim słuchano jej kilkakrotnie przy czytaniu jej przez poetę.

Ówczesny komisarz ludowy oświaty A. Łunaczarski tak się o „Misterium-buffo" wyraził: „Jest to jedyna sztuka, której pomysł powstał pod wrażeniem naszej rewolucji. Na treść tego utworu złożyły się wszystkie gigantyczne przeżycia dzisiejszej współczesności, treść po raz pierwszy w dziełach sztuki ostatnich czasów równoważy się ze zjawiskami życia".

Afisz afonsujący spektakl w żartobliwej formie przedstawiał treść utworu: „Obraz I. Biali i czarni uciekają przed czerwonym potopem. Obraz II. Arka. Czyści podsuwają nieczystym cara i republikę. Sami zobaczycie, co z tego wyniknie. Obraz III. Piekło, w którym robotnicy posłali do diabła samego Belzebuba. Obraz IV. Raj. Ważka rozmowa parobka z Matuzalem. Obraz V. Komuna. Słoneczne święto przedmiotów i robotników".

W drugiej, przełożonej przeze mnie redakcji sztuka zawiera 6 aktów. Majakowski wprowadził nowy akt (5), przedstawiający walkę młodego państwa radzieckiego z rozprzężeniem. Prócz tego napisał inny prolog i częściowo zmienił zakończenie. W tej postaci premiera sztuki wystawionej w Teatrze RSFSR odbyła się 1 maja 1921 r. **(K. A. J.)**

Misterium-buffo — to droga. Droga rewolucji. Nikt nie przepowie dokładnie, jakie jeszcze góry wypadnie nam wysadzić w powietrze, nam, idącym tą drogą. Dzisiaj świdruje ucho słowo Lloyd-George, a jutro o imieniu jego zapomną i sami Anglicy. Dziś do komuny rwie się wola milionów, a za pół wieku może powietrzne dreadgnouhty komuny rzucą się, by atakować dalekie planety.

Dlatego, porzuciwszy drogę (formę), znowu zmieniłem część pejzażu (treść).

W przyszłości wszyscy, którzy będziecie grali, wystawiali, czytali, drukowali „Misterium-buffo", zmieniajcie treść jego — czyńcie ją współczesną, dzisiejszą, aktualną w danej chwili.

Udział biorą

I. Siedem par czystych. 1. Negus abisyński, 2. Radża indyjski, 3. Pasza turecki, 4. Spekulant rosyjski, 5. Chińczyk, 6. Utuczony Pers, 7. Clemenceau, 8. Niemiec, 9. Pop, 10. Australijczyk, 11. Żona Australijczyka, 12. Lloyd-George, 13. Amerykanin i 14. Dyplomata.

II. Siedem par nieczystych: 1. Czerwonoarmista, 2. Latarnik, 3. Kierowca, 4. Górnik, 5. Cieśla, 6. Parobek, 7. Służący, 8. Kowal, 9. Piekarz, 10. Praczka, 11. Szwaczka, 12. Maszynista, 13. Eskimos-rybak, 14. Eskimos-myśliwiec.

III. Ugodowiec

IV. Inteligencja

V. Dama z pudełkami

VI. Diabli: 1. Belzebub, 2. Diabeł starszy, 3. Ordynans, 4. Ordynans drugi, 5. Strażnik, 6. Dwudziestu czystych z rogami i ogonami.

VII. Święci: 1. Matuzal, 2. Jan Jakub Rousseau, 3. Lew Tołstoj, 4. Gabriel, 5. Anioł, 6. Anioł drugi i 7. Aniołowie.

VIII. Adonaj

IX. Postacie Ziemi Obiecanej: 1 Młot, 2. Sierp, 3. Maszyny, 4. Pociągi, 5. Samochody, 6. Hebel, 7. Obcęgi, 8. Igła, 9. Piła, 10. Chleb, 11. Sól, 12. Cukier, 13. Materia, 14. But, 15. Deska z dźwignią.

X. Człowiek przyszłości.

Miejsca akcji

1. Cały wszechświat, 2. Arka, 3. Piekło, 4. Raj, 5. Kraina szczątków, 6. Ziemia Obiecana.

Z AKTU III

Piekło. Scena z olbrzymimi drzwiami. Na drzwiach: „Bez meldowania wstęp wzbroniony". Po bokach diabli-wartownicy. Dwaj diabli-ordynansi krzyczą jeden do drugiego przez cały teatr. Cichy śpiew na scenie za drzwiami.

Chór
My czarci, my czarci, my czarci —
po śmierci
grzeszników na rożnie wciąż
wiercim.

Ordynans I.
Tak, bracie czarcie,
parszywe życie!

Ordynans II
Tak, ostatnio ze zmartwień byłem
ciągle chory ja.

I-y
Słowem —
trzecia kategoryja!

Chór
Spekulantów w ornacie,
wypędzono popów
i kryzys gospodarczy dziś i u nas
gotów.

II-i
Autochtonów-diabłów nie widać
zupełnie,
Odkąd do nas trafili ci właśnie
panowie:
różne zachcianki chodzą im po
głowie
i wszystko spełniaj!

I-y
Najgorszy to ten Negus abisyński.
Pysk czarny
Apetyt świński.

Chór
O, biada, o, biada, o, biada, o, biada,
zdechniemy tu wszyscy już wnet
bez obiadu!

I-y
Dawniej to diabeł nieraz miał jak
arbuz buzię.

II-i
Tłusty pysk cały.

I-y
A jak popów przegnano, to
z dostawców guzik.

II-i
Wypłaty marne.

I-y
I nędzne przydziały.
I żeby choć z nich diabli byli
jak należy,
ale są wstrętni —
łyse
purchawki!

I-y
Doczekają się
i u nas ruchawki.

II-i
Cyt!
Znowu ktoś dzwoni.

Obaj
Uciekajmy we sto koni.

(Wieją przez całą scenę. Wartownicy rozpytują ordynansów i po złożeniu krótkiego meldunku otwierają drzwi na rozcież).

Lloyd-George
Ach, wy diabły przeklęte!
Ach, wy czartowskie dzieci!
Dlaczegoż to grzesznicy nie
wpadają w sieci?

Pop (zamachując się na ordynansów)
Cóż to ja po to na was tyle
pracowałem,
aby z nędznych przydziałów żyć
na tamtym świecie!

Ordynansi (niezadowoleni)
Wzięlibyście widły do ręki
i sami ludzi chwytali na męki.

Clemenceau
Milczeć!
Już my tu was nauczymy!
Myśmy diabli z lepszej gliny.
Nie szczędząc potu
czarny czart musi białym służyć
swą robotą.

Ordynans II-i
Wprowadzili tu porządek nowy.
I wśród diabłów antagonizm
klasowy.

Pasza
Patrzcie go, jaki krewki!
Jaki wymowny wielce!
A ja cię nożem!
A ja cię widelcem!

Czart — mistrz ceremonii
Jego Królewska Mość Belzebub
z wiernym swym ludem chce
odbyć naradę.

Niemiec
Wstać!
Baczność!
Nie kręcić zadem!

Belzebub (wchodzi)
Czarci, moi wierni poddani!
Już nie będziecie głodem nękani.
W radości tońcie!
Wyżej chwost!
Wreszcie się kończy
wielki post.
Grzeszników tu z piętnastu stoi
w naszej bramie.

Pop (przeżegnawszy się)
Dzięki Bogu!
Kończy się wreszcie na sucho
śpiewanie.

Chińczyk
Ludzie coś bardzo poważni,
chociaż bez portek.

Negus
Ale się nażrę!
Aż mdło będzie czortom!

Lloyd-George
No i naostrzę dobrze rogi!
Odpokutują czyn swój srogi!

Belzebub (do ordynansów)
Na posterunek, wartownicy,
żywiej!
Masz lornetę —
i patrzaj cięgiem,
aby z nich żaden stąd nie uszedł
żywy.
Inaczej
oberwiesz cięgi
(Diabli uzbrojeni w lornety biegną do sali nadsłuchując. Drzwi otwierają się na rozcież)

I-y
Niech się dostaną w nasze ręce!
Ja im pokażę!
Ogon podniosę!
I na rogi!

II-i
To się przerażą!

I-y
Już ja się z nimi wnet rozprawię!
Wrogowi bym nie życzył.
Lubię, gdy na patelni sos
z grzeszników syczy.

II-i
A ja ich po prostu żrę.
Chrup-chrup.
Cyt!
Czy słyszysz?
Puk-puk-puk.
Puk-puk-puk.
(Nadsłuchują. Dochodzą hałasy nieczystych demolujących przedsionek piekła).

I-y
Nasz stary
dopieroż się ucieszy.

II-i
Cicho bądź, diable! Jakaś chryja
gruba!
Biegnij
uprzedzić w czas sztab Belzebuba.
(Pierwszy biegnie. Nad środkowym piętrem ukazuje się Belzebub. Dłoń na czole. Diabli powstają).

Belzebub (upewniwszy się wrzeszczy)
Hej, tam!
Czarci!
Wleczcie tu kocioł!
I drew co suchszych,
grubszych
pociąć!
Kryj się za chmury, oddziale
śturogi!
Niechaj z nich żaden nie umknie
nam z drogi!
(Diabli przyczaili się. Z dołu dochodzi: „Na maszty, na maszty. Za liny, za liny." Wpada tłum nieczystych i momentalnie wyskakują diabli z widłami do ataku).

Diabli
U—u—u—u—u—u—u!
A—a—a—a—a—a—a!

Kowal (wskazuje ze śmiechem szwaczce stojącej na flance)
Starzy znajomi!
Cóż ty na te cuda?
Udało nam się z bezrogimi
to z rogatymi też się uda!
(Tumult im się sprzykrzył. Uciszyli diabłów syknięciem)
C—s—s—s—s!
(Umilkli zdezorientowani diabli)

Nieczyści
Czy to jest piekło?

Diabli (niepewnie)
T-tak!

Parobek (na czyściec)
Towarzysze!
Nie stawać w miejscu.
Na ten szlak!

Belzebub
Tak-tak!
Diabli naprzód!
Od czyśca im wara.

Parobek
Słuchajcie!
Jakimż to stylem mówi ta
maszkara!

Kowal
Spuść no pan z tonu!

Belzebub (dotknięty)
Niby jak to — z tonu?

Kowal
Zwyczajnie.
I panu nie wstyd!
Bądź co bądź diabeł stary,
siwizną przyprószony.
Też ma nas czym tu straszyć!
Nie był pan nigdy,
to się widzi,
w stalowni naszej?

Belzebub (sucho) W stalowni waszej nigdym nie był.

Kowal
Właśnie, właśnie!
Bo by ci wtedy
sierść wyleniała cała.
Żyjesz tu sobie
elegancik,
gładki, szczecina wspaniała.

Belzebub
Ładnie mi gładki,
ładnie mi wspaniała.
Dość tej rozmowy! Prosimy do
pieca!

Piekarz
A to ci heca!
Chce nas tu przerazić!
Pęknę ze śmiechu doprawdy.
Toż u nas
w Moskwie
wam by za drzewo płacono radośnie.
Od mrozu ludzie wciąż złorzeczą
Kolce,
a u was tu
z temperaturą znośnie.
Chodzicie nago, golce!

Belzebub
Dosyć już żartów!
Drżyjcie o duszę.
Zaraz was wszystkich siarką
zaduszę!

Kowal (irytując się)
I cóż tu macie. —
Że pachnie siarką lekko?
U nas, jak gazem trującym wróg
kadzi,
step od szynelów szarzeje daleko --
cała dywizja pokotem się kładzie.

Belzebub
Radzę wam — nie drwijcie
z rozpalonych rusztów.
Na widłach się znajdziecie
może zaraz już tu.

Parobek (wychodząc z siebie)
A co się ty tak pysznisz jakimiś
widłami!
Twe głupie piekło to dla nas jak
miodek.
Zdarzało się
w ataku
że trzy pułki złamie
jednym podmuchem kulomiotów
ogień.
(Diabli nadstawili uszy)

Belzebub (stara się utrzymać dyscyplinę)
Czemu stoicie?
Rozdziawili usta!
Może to tylko gadanina pusta.

Parobek (rozwścieczony)
Pusta?
Siedzicie tutaj,
w pieczarach na warcie,
czarci!
Słuchajcie,
opowiem wam...

Diabli
Ciszej.

Parobek
...jak źle się żyje tam.
Cóż to wasz Belzebub!
Po piekle sobie z widelczykiem
chadza,
Na ziemię zejść wam na chwilkę
by trzeba.
A wiecie, diabli, co to jest blokada?
Mamy ulęknąć się jakichś tam
wideł?
Czołgi angielskie w krwi się naszej
pławią.
Pierścieniem eskadr i flotylli
sidłem
kapitał państwo robotnicze dławi.
Wy tu nie macie niewinnych
i dzieci.
Dłoń wasza chyba we krwi się
nie lepi?
A u nas i ci przecie...
Nie, diabli
tutaj jest lepiej.
Jak jakiś tam niekulturalny Turek
na pal grzesznika wbijecie siekierą
a my mamy maszyny,
a my mamy kulturę.

Głos (z tłumu diabłów)
A to dopiero!

Parobek
Pijecie krew?
Potrawa nędzna.
Ot, zaprowadzić was do fabryk
kaźni,
Tam krew na czekoladę dla
burżujów pędzą.

Głos (z tłumu diabłów)
No-o!
Poważnie?

Parobek
Na niewolnika spójrzcie
w angielskiej kolonii,
wszyscy by diabli zaczęli łzy
ronić.
Aby książkę oprawić,
z Murzynów skórę
zdzierają na łokcie.
Do ucha — gwoździem?
A czemu nie — i to potrafią!
I świńską szczeć pakować pod
paznokcie.
A żołnierza w okopie ujrzeć by
wam trzeba:
wasz męczennik to przy nim jest
zero.

Głos (z tłumu diabłów)
Już dosyć!
Sierść staje nam dęba.
Od takich opowieści dech
w piersiach zapiera.

Parobek
I wy myślicie straszyć?
Pozapalali ognie,
wbili z kotłami haki.
I jacyż to z was diabli.
Ot, po prostu — szczeniaki!
Rzemienie wam fabryczne
wyciągały stawy?

Belzebub (zmieszany)
No, masz ci!
Zaczyna się tu rządzić
jak szara gęś, doprawdy.

Pop (popychając Belzebuba)
Powiedz,
powiedz o ogniu im piekielnym.

Belzebub
Mówiłem —
nie słuchają.
Na wszystko mają odpór celny.

Parobek (nacierając)
Co, tylko na nieśmiałych zęby swe
szczerzycie?

Belzebub
No, czemu, słowo daję, wciąż
się przyczepiacie?
Cóż, diabli jak to diabli! Już takie
jest życie!

Ugodowiec (starając się rozdzielić czartów i nieczystych)
O Boże,
znów się zaczyna!
A cóż to,
dwóch rewolucyj wam mało?
Panowie, towarzysze,
znów się skandalów zachciało.
No, co?
Lepszego jadła tu nie macie?
Znaleźli
tort.
A z was
tak samo
dobre ziółka,
ustąpić nie możecie?
Widzicie przecież — stary
i czcigodny czort.
Przestańcie się wadzić,
potrzebna zgoda.

Belzebub
Ach ty, lizusie!

Parobek
Ach, ty, lisia mordo!
(Z dwóch stron biją ugodowca)

Ugodowiec (apelując do widowni)
Obywatele!
No i gdzież tu jest sprawiedliwość?
Gdy nawołuje ich człowiek do
zgody,
to z obu stron oberwie jako żywo.

Belzebub
(ze smutkiem do nieczystych)
Ja bym was najserdeczniej
przyjął tu tak jak gości,
lecz jakiż teraz poczęstunek —
skóra i kości.
Wy sami wiecie, jacy teraz ludzie,
usmażysz i nic z tego, daremnie
się trudzić...
Przyciągnięto człowieka w tych
dniach ze śmietnika,
nie dacie może wiary?
Wstyd byłoby częstować was tym
robotnikiem.

Parobek (z obrzydzeniem)
A, idź do diabła!
(do oczekujących od dawna z niecierpliwością robotników)
Idziemy, towarzysze!
(Nieczyści ruszyli, do ostatniego przyczepił się Belzebub).

Belzebub
Szczęśliwej drogi!
Nie zapominajcie —
mądrą mam głowę.
Czart się nauczył niemało.
Kiedy się urządzicie,
i mnie zaproście,
będę kierował
Komitetem Opału.
Siedzi się tu nie widząc przez
tydzień kotleta,
a diabli, wiadomo,
mają diabelny apetyt.

(Nieczyści ruszyli w górę. Spadają łamane chmury. Ciemność. Z ciemności i odłamków opustoszonej sceny zarysowuje się następny obraz. A na razie w piekle rozbrzmiewa pieśń nieczystych).

Kowal
Ciałami — piekła drzwi przebijcie!
Na strzępy czyściec!
I naprzód śmiało rwijcie!

Chór
Czyściec na szczątki!
Tak!
I naprzód rwijcie!

Górnik
Wciąż naprzód!
Nie wolno nam spocząć.
Po piętrach!
Wyżej!
Po chmurach kroczcie!

Chór
Po piętrach kroczcie!
Wyżej!
Po chmurach!

Dama (która znalazła się tu nie wiadomo skąd, rzuca się na piersi Belzebuba)
Belzebubku!
Miły!
Kochany!
Nie porzucaj na zgubę damy!
Puść mnie,
puść mnie do swoich!
Niechżeż mnie pan ratuje.
Bo ci nieczyści to skończeni zbóje.

Belzebub
No, cóż!
Przytułek dam.
Proszę, madame!
(Wskazuje drzwi, zza których momentalnie wyskakują dwaj diabli z widłami i wywlekają damę. Zaciera ręce).
Jedna już jest.
Zawsze przyjemnie dezertera zjeść.

Przełożył **Kazimierz Andrzej Jaworski**

Rys. Ignacy Witz

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa ul Wiejska 12 Telefony: Sekretariat 8 86-11, 8 24-11, — Red naczelny 6 79-38 Adres administracji: Warszawa ul Wiejska 12, tel 8 53 30 Wydaje RSW „Prasa". Kolportaż PPK „Ruch", Oddz. w Warszawie, ul Srebrna 12 tel 804 20 do 25 Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4 60, kwartalnie zł 13 80, półrocznie zł 27 60, rocznie zł 55 20. Wpłaty na prenumeratę indywidualną przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa", Warszawa, ul Poznańska 38, konto PKO 1-111 5589, tel 8 23-09. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa", Warszawa, Marszałkowska 3/5.

5-B-17459